



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ka. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

STEFANIA WOHL.

Jeżeli do rzędu ludzi znakomitych należą ci, których wpływ działał kręgiem szerokim, których natchnienie przejmowało wiele serc i umysłów, to znakomita kobieta zeszła w tym czasie ze świata. Umarła w Peszcie Stefania Wohl, literatka, filantropka, dobra obywatelka swego kraju, urodzona w Dolnych Węgrzech, na pograniczu tych płaszczyzn — stepów, będących dotąd koczowiskiem nieprzeliczonych stad wołów i owiec, gdzie podróżny spotkać może zaledwie co mil kilka samotną czarę, to jest karczmkę, z której komina wznoszący się słup dymu jest dlań jedynym drogowym wskazem. Kraina to urodzajna, w bujne dary dzikiej natury bogata, ale wieje wskroś niej od stepów idące tchnienie tęsknoty, i to sąsiedztwo mogło wprowadzić w duszę dziewczęcia rozmarzenie poetyczne, które przy wyższych zdolnościach umysłu uczyniło z niej literatkę: najpierw poetkę, potem powieściopisarkę — kobietę wielkiej zasługi w zakresie oddziaływania na umysły i serca kobiet węgierskich, czemu w ostatnich latach swego zawodu poświęciła się wyłącznie. I na tem-to polu zyskała sobie może największe, a przynajmniej najwybitniejsze uznanie współziomków.

Stawiała ona przed duszą, przed myślą i uczuciem kobiet tamtejszych ideał pięknej, szlachetnej, czystej kobiecości w zakresie wysoko pojętych obowiązków niewieściich wśród rodziny i społeczeństwa. Pisma węgierskie, donoszące o zgonie tej, bardzo popularnej pisarki, uważają ją wszystkim za wyższą siłę literacką, i z tego też punktu widzenia rozbierają przeważnie jej zasługi i rysy charakteru, pomijając przecież mil-

czieniem bliższe szczegóły z dziejów życia — nie podając nawet roku jej urodzenia, co nie pozwala oznaczyć ściśle jej wieku.

Mieszkała obecnie w Peszcie, z siostrą młodszą. Natura szlachetna i podniosła łączyła w sobie tyle obdarowań różnych, że trudno wykaazać, co tu panowało wybitnie, bo obok wielkiej żywości myśli, wielkiej wrażliwości uczucia i wyobraźni, serce jej i umysł miały głębie swoje: kochała wiernie, umiała pracować wytrwale, stać silnie na gruncie przekonań swoich. Niezmierna jej uprzejmość, usłużność dla ludzi, pochodząca z dobroci serca, wydawała się niemal słabością, miękkością charakteru, a jednak w postanowieniach uparta była, w uczuciach, w postanowieniach niezmienną. Tak i jej fizyczność: bardzo delikatna, nerwowa, bynajmniej nie silna, zdolna była znieść pracę niezmierną i nieraz też zdająca się już upadać pod ciężarem znużenia, zrywała się po chwili odpoczynku do nowych trudów — do nowej roboty, skoro tylko coś ją wzruszyło, zagrzało do niej — wyrzesało z piersi jakąś gorącą iskrę zapалу.

Namiętne zamięłowanie książki, czytania, zbudziło się w niej bardzo wcześnie — w dzieciństwie niemal zaczęła czytywać a zwłaszcza pamiętniki; rzeczy historyczne miały nad nią taką moc zajęcia, że mogła nie jeść, nie pić — zapominając o tem. Nauki systematycznej dostało jej się bardzo mało, niemal tylko w zakresie elementarnym, ale uczyła się sama, mając, na szczęście, dostatek książek pod ręką, w których tonęła, i nauczyła się też tym sposobem bardzo wiele. Oprócz języka ojczystego posiadała gruntownie francuzki, angielski, niemiecki; w piętnastym roku napisała już tyle poezyi, że wyszedł ich w Peszcie tomik cały. Były to kwiaty wiosenne, pierwiosnki myśli i uczuć kielkujących w sercu dziewczęcia, ale miały one w sobie to, co jest wszelkiej poezyi warunkiem pierwszym: ciepło serca, umiejącego kochać silnie, prostotę szcze-

rości, przytem dużo fantazji poetycznej, i ludzie przyjęli to dobrze, zachęcająco. Ludowa bajka czarodziejska zajmowała tu wiele miejsca i przez całe życie ton ludowy dźwięczał w nucie jej poezyi, co pociągało do niej serca wyższych i niższych przez nutę rodzimą i czyniło ją popularną. Była przytem bardzo muzykalną i wiele czasu poświęcała tej sztuce, ale chociaż natura ta, wskroś artystyczna, zdawała się żyć całkowicie fantazją poetyczną, przecież „ta czarnoksiężnica, co pieśnią rozmarza, co w dźwięki zachwyca“ — poezya, muzyka, nie porwały jej za sobą poza koło dróg jej sercu interesów życia, nie wydarły jej obowiązkom świata realnego. Obok rodziny, gorąco ukochanej, było społeczeństwo, był kraj — i ona nie zapominała o tem nigdy. Zajmowała się bardzo silnie ruchem toczącego się wkoło niej życia, i pisma angielskie, poświęcające jej teraz wspomnienie pośmiertne, piszą, że młoda panna, ledwo dwudziestoletnia, uczyniła się bezimienną korespondentką dziennika angielskiego z szerokim zakresem w dziedzinie polityki: „a large political English journal“, który drukował wszystko co nadsyłała bez zmiany jednego wyrazu: „without so as altering a word in them“. Że to wykazuje umysł niepospolity, nie potrzeba dodawać, zwłaszcza, że była tak młoda, że była samouczkiem — że sama sobie brała, sama gromadziła wszystko, co zbogacało jej umysł, wyrabiało sąd.

Obok tego wydawała od czasu do czasu powieść, zawsze z zakresu interesów ogólnych, traktowanych tak poważnie i gorąco, że niejednokrotnie szukano pod jej bezimiennością mężczyzny, choć ośobiście nie była w niej nic męskiego, lecz przeciwnie jej żywa uczuciowość, jej zapal i łatwość uniesienia się zachwytem, lub oburzeniem były w niej wielkim, przecież czysto niewieściem wdziękiem. Przy takim usposobieniu musiała być i była też łatwo wzruszającą się i bardzo litościwą — była razem pełną wdzięku i tkli-

wości kobietą, nie zdradzającą w życiu prywatnym niczem jakiejś oddzielności. „Nie było nigdy ani na jej umyśle, ani na jej palcach najmniejszej plamki atramentu“ — pisał jej biograf i ona sama w jednej z poezji, zawartych w dziełku: „Sny i Fantazje“ każe geniuszowi niewieściego istnienia wołać, że:

„Na świecie
Co ma więzy i okowy,
Ciężko bardzo żyć kobiecie,
Cóż dopiero wyjątkowej?..“

Podobizna jej w pismach angielskich przedstawia bardzo ładną kobietę z bujnym włosom, utrefionym nisko nad czołem, z pięknymi, długimi oczyma, ze szczupłą, pociągłą, szlachetnego zarysu twarzą, w której tylko usta są nieco za wydłużone, ale powabne. Jakie były te próby i przeżycia jej istnienia, dla których zawołała, że „bardzo ciężko żyć kobiecie!..“ nie wiadomo. Miała wielkie powodzenie, wielkie uznanie jako pisarka, używała wyższego szacunku ludzkiego, nie była osamotnioną, bo stale miała obok siebie kłiwie kochaną i kochającą siostrę młodszą Jankę. Otaczała je liczne koło znajomych, spośród których wytworzyła sobie bliższe, poufniejsze koło przyjaciół, do którego należał Liszt, hr. Zichy, kardynał Heynald i ci, gdy przebywali w Pesce, byli stale codziennymi jej gośćmi.

Bywał przytem u niej cały węgierski świat wyższy przez inteligencją, talent, zasługę obywatelską. Musiała przecie krwawić się w jej sercu na dnie jakaś rana bolesna — musiało to życie kryć w sobie jakiś dramat smutny, dla którego to zapewne ta obdarowana ze wszech względów kobieta pozostała do śmierci samotną. Ale znać powiedziała sobie z poetą: — Z życia mojego tragedya dla Boga... bo żadne pióro biografu nie dotknęło tego punktu, zatem to, co w życiu jej mogło być zawodem i cierpieniem serdecznym, nie wyszło nigdy na jaw o tyle, aby się stało wiadomością dla wszystkich. Ona sama nigdy nie zatraciła w sobie tych uczuć i pojęć, które są wiarą w drogie ludzkości ideały i nawet więcej, uważała, że życie, które jest ich pozbawionem, musi być z konieczności istnieniem ciężkiem, musi być istnieniem smutnem, i wypowiedziała to gorąco w traktacie: „Ofiary realizmu“, gdzie wykazuje, że życie to, gdy jest sprowadzonem całkowicie na grunt realny, przynosi najcięższe i pod karą zatrucia go sobie goryczą pesymizmu, potrzeba mu jeszcze czegoś, co-by było celem idealnych dążeń i pragnień, co przynosiłoby razem pociechy i nagrody idealne. Angielskie streszczenie tych myśli i uwag węgierskiej pisarki przedstawia szlachetnie i rozumnie, z wielkim spokojem myśli i powagą wypowiedzianą prawdę, że sam rozum, samo uznanie praw natury, bezwzględnie światem rządzących, nie wystarczą ludziom. Serce człowieka domaga się szczęścia, pragnie miłości, potrzebuje nadziei — potrzebuje wiary w coś wyższego niż to, co jest samem użyciem, potrzebuje — zwłaszcza w chwilach bolesnych zawodu, niepowodzenia — oprzeć się na tej idealnej podporze, która się buduje z innego materiału niż realne dobra ludzkości. Gdy to wydrukowanem zostało, wszystkie pisma krytyczne i opinia publiczna podniosły rzecz bardzo wysoko; winszowano jej, nie tylko, że tak dobrze pisać umie, ale, że czuje tak szlachetnie, tak podniosło rozumie życie, a jeden z profesorów uniwersytetu peszteńskiego, professor P., odezwał się głośno, że dumnym mógłby być każdy filozof, gdyby coś podobnego napisał. Przecież tensam człowiek w trzy dni potem zastrzelił się i było to okrutnem podkreśleniem jej dowodzeń. Kto zatraci w sobie te pociechy, jakie dają dążenia idealne, musi być kamiennie twardym i silnym, aby zdołał znosić życie.

Do bardzo cenionych w jej ojczyźnie utworów jej literackich należy powieść „Ewa“, gdzie własna jej osobistość, jak twierdzą krytycy miejscowi, jej smutny nastrój myśli, tęsknoty jej kobiecego ducha, malują się najlepiej, najdokładniej. Ostatnia jej powieść: „Szych“ otrzymała wielkie, ogromne powodzenie, nie tylko w Węgrzech. Onasama przetłumaczyła ją na język

niemiecki, istnieje też przekład na język francuzki; wkrótce, jak piszą dzienniki angielskie, wyjdzie z pod prasy przekład angielski, a co więcej — turecki. Jeden z tych Węgrów, którzy po upadku wojny węgierskiej przeciw Austrii schronili się do Turcji, zamieszkuje Konstantynopol, i on jest tłumaczem.

Powieści te wszystkie wychodziły najpierw w piśmie dla kobiet, redagowanem przez nią wspólnie z siostrą: „Bazar węgierski“. W niem usiłowała ona przeprowadzić te myśli i uczucia, które w niej żyły i które chciała przeszczepić w umysł, wprowadzić w serce kobiet swego narodu. Głos ogółu twierdzi, że pragnienie jej nie zostało bez skutku, że wpływ jej był wielki i szczęśliwy, że podnosił i uszlachetniał, że była „dobrym duchem“ kobiet węgierskich. To też zał po jej stracie jest wielki, tem bardziej, że umysł jej był właśnie w najpełniejszej sile swego rozwoju. Jeden z dzienników węgierskich przytacza ustępy z jej listu, pisanego w ostatnich czasach do kogoś z przyjaciół, w którym objawia się jakgdyby przecucie śmierci i tęsknota za odpoczynkiem. — „Zmęczoną, bardzo zmęczoną się czuję, ale wiem, że jest po życiu odpoczynek cichy — jest grób, gdzie już nas nie i nikt nie będzie niepokoić...“

Że serce jej musiało cierpieć kiedyś bardzo — że życie choć otoczone uznaniem ogółu i opromienione powodzeniem, musiało jej być nieraz ciężkiem, dowodzi, że dwa razy, jak przypominają obecnie pisma węgierskie, pióro jej kreśliło uwagi nad samobójstwem; raz było to we wspomnianym wyżej traktacie: „Ofiary realizmu“. Ale zawsze jednakowo, wykazując różne ciężary, bólesci, trudy istnienia człowieka na ziemi, nauczała: Życie to obowiązek!

Tak je pojmowała, tak je pojmować kazała innym, a że siała w serca kobiet swego narodu to pojęcie uczciwe, to pojęcie szlachetne, iż jest przed człowiekiem do spełnienia zadanie wyższe nad myśl o sobie, nad troskę o własny dobrobyt, więc też zyskała uznanie i szacunek ogólny, a czy to samo w sobie nie jest już szczęściem, lub czemś, co szczęścia jest bliżkiem? Ona, która pisała: „Życie to obowiązek“... musiała być bliską tej myśli, że obowiązek spełniony — to szczęście.

M. Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg).

— Może pan zechcesz odpocząć, — ciągnął dalej pryncypał, z głową odwróconą ku oknu — na wsi byłoby zdrowsze powietrze dla pana i dla córek.

— Mam dzieci w szkołach — wtracił, jakby na usprawiedliwienie, że nie może od razu zgodzić się na propozycję.

— Ja też nie nalegam, aby zaraz; masz pan jeszcze czas do przeniesienia się stąd.

Pęczyński spochmurniał jeszcze bardziej i zamilkł na dłuższą chwilę.

— Pan dyrektor pozwoli, żebym się nad tem zastanowił — rzekł wreszcie, chrząkając, jakby go słowa w gardle dławily; — jeżeli mi wypadnie coś innego postanowić, zgłoszę się sam do pana dyrektora.

— Jak się panu podoba, możesz pan liczyć na mnie w każdym czasie.

— Wszelako raz jeszcze muszę pana dyrektora upewnić, że z naszej strony...

Fatt jun. uznał za stosowne łagodniejszym nieco tonem zakończyć tę rozmowę ze starym officialistą swego ojca, bo zwrócił się nagle do niego i kładąc mu protekcyjonalnie rękę na ramieniu, przerwał:

— Alez, mój panie Pęczyński, nie potrzebujesz się pan tłumaczyć. Ja pana tylko ostrzegłem, abyśmy się obaj, — pan jako ojciec, ja jako brat, — nie narazili na rozmaite niepotrzebne przykrości. Liczę też na to, że z rozmowy naszej skorzystasz, jak człowiek rozumny i doświadczony, zachowując ją tylko dla siebie.

Pęczyński głowę skłonił na znak, że przyrzeka dyskrety.

— Nie idzie mi o to, aby przed bratem ukrywać cokolwiek, ale chciałbym mieć teraz swobodną głowę; mam właśnie tyle ważnych interesów, wydaję siostrę za mąż za barona Turnaua; wszystko mi się naraz zwaliło...

— Panna Liza wychodzi za mąż? — zagadnął z odcieniem gorącej życzliwości w głosie inkasent — a to chwała Bogu!... śliczna panienska z niej wyrosła. Pamiętam jeszcze, kiedy się urodziła. W tym samym czasie, jednego prawie dnia, moja żona powiła także córkę, nieboszczkę Misię; pan dyrektor był wtedy dopiero w gimnazyum. Mój Boże, jak to czas leci!..

Zdawało się, że te wspomnienia powstrzymały na chwilę przykre wrażenie, jakie na nim wywarła rozmowa z młodym pryncypałem.

Kiedy się jednak wydostał z gabinetu szefa, czuł się biedaczysko znowu tak skłopotanym, tak mu czegoś wstyd było posadzenia, które najniewinnie jako ojciec ściągnął na siebie, że go poraz pierwszy od wielu lat rozboleła głowa.

Wrócił do domu wcześniej, niż zwykle, z zamiarem porozmawiania szczerze, otwarcie „ze swoją starą“, na cztery oczy, ale w kuchni dowiedziawszy się od służącej, że młodszy pan Fatt jest na lekcji, stanął niezdeterminowany na progu i po chwilowym namyśle postanowił nie wchodzić do pokoju.

Sam nie wiedział czemu, ale to spotkanie z Krzysiem, teraz, bezpośrednio prawie po rozmowie z Karolem, wydawało mu się jakoś tak kłopotliwym, tak nie na rękę, że stał kilka minut w kuchni, namysławiając się, co począć.

— Wejść, czy nie wejść? — mówił sobie niezadowolony; — et, zawrócę się i przyjdę później, niech wpierw odejdzie sam, a potem się z Franią naradzimy oboje, jakby go tu najrzęczniejsz usunąć. Przecież go za drzwi wyrzucić tak prosto z mostu, nie mogę. Zresztą, mam się nie zdradzić z niczem. Trzeba politykować... a ja właśnie do politykowania!.. ot, skaranie Boże. Wejść i nie potrafię mu w oczy popatrzeć. Chłopak domyślił się sam od razu i dopiero pęknie bomba!..

Westchnął tak ciężko, jakby mu cała góra spadła na piersi.

— Et, co tam, wejść, przecież to mój własny dom — monologował dalej, — ale z miejsca się nie ruszał i, pomyślawszy jeszcze trochę, ku wielkiemu zdziwieniu służącej, pocichu wyniósł się z kuchni, szepnąwszy:

— Nie mów nic panience, że ja już byłem w domu.

Sługa popatrzyła na niego z dwuznacznym jakimś uśmiechem, jakby go podejrzewała, że nie chce młodym przeszkadzać i zabrała się do nastawiania samowaru.

W wieczornym zmroku pod oknami swego mieszkania biedny Pęczyński chodził tam i napowrót, układając w głowie plan wykonania swej delikatnej misji i rozmowy z córką w sprawie odsadzenia Krzysia.

Czekał, aż lekcya się skończy i samowolnie nauczył Toci dom jego opuści.

Za nic w świecie nie chciał się z nim spotkać oko w oko przy świetle; konieczność udawania i ukrywania prawdy obojętnymi pozorami wydawała mu się zadaniem zbyt trudnem do wykonania.

— Niech tam sobie dziewczyna radzi z tem, jak chce — powtarzał w duchu — ja się nie mieszam. Jak tu komuś wymówić dom, jeszcze jemul.. toż syn nie byłby przychylniejszy, brat nie byłby lepszy. Dzieci się zapłaczą za nim. Skaranie Boże!.. No, ale trudno. Nie życzą sobie,

aby bywał, muszą mieć swoje racje. Co mnie do tego!.. Ona mu to potrafi dać do zrozumienia sto razy lepiej odemnie. Ja nie do tego... A skończyć trzeba, po co mają mieć do mnie pretensje, a na nią posądzenie, że go sobie łowi na męża. Także!..

Krzysiovi nie pilno było wychodzić od Pęczińskich; był dziś w wyjątkowo dobrym humorze i „dokazywał“ podwójnie z dziećmi, przekomarzając się swoim zwyczajem z Franią.

Przypominał jej owe czasy, gdy była podlotkiem i nie wiedziała, co począć z rączkami, naśladował jej niezręczne ruchy, jej szybkie, płochliwe dygi, opowiadał o potarganej grzywce i kukielce z włosów, którą nosiła bez wszelkiej pretensyi ułożoną, niby dwa splecione obwarzanki na tyle głowy.

Do tej charakterystyki nie dobierał wyrazów i porównań wyszukanych, ale to właśnie stanowiło komiczną stronę rozmowy, przeplatanej wybuchami śmiechu rozradowanych dzieci i udanymi dąsami Frani, która zamierzała się na swego dręczyciela zwiżanymi pasmami włóczki, wołając:

— Doprawdy, jeżeli pan nie przestanie, to... to... no, zobaczysz pan!..

— Nic nie zobaczę, bo zamknę oczy i nie będę patrzył wcale.

— Och, jakie to dowcipne!.. czy pan już nie dowcipniejszego nie potrafi odpowiedzieć?

— Potrafię.

— Bardzo wątpię.

— Rozumie się, że potrafię, tylko nie chcę się zanadto wyczerpywać.

— E, z próżnego nie należy; zna pan to przysłowie?

— A cóż to ma za związek ze mną?.. ja niby próżny jestem? a, śliczne ma pani o mnie wyobrażenie!.. i to mówi przyjaciółka od lat dziecinnych!..

— Bo pewnie.. Dawniej był pan jakoś poważniejszy, a teraz to się pana tylko żarty trzymają. Nigdy nie wiedzieć, kiedy pana brać na seryo.

— Nigdy?.. nigdy?..

Nachylił się do niej przez stół, położył swoje dłonie na jej rękach i wstrzymując zwiżanie włóczki, spojrzał jej poważniej w oczy, głęboko, długo, pocieście i ciszej, jakby tylko dla niej, powtórzył:

— Na prawdę: nigdy?..

Chciała uniknąć jego wzroku, spuściła główkę i wysuwając swoje rączki spod jego dłoni, zaczęła ze zdwojoną szybkością nawijać niebieski kłębek, nie odpowiadawszy ani słowa, ale częste, przelotne, spod oka rzucane na niego spojrzenia zdawały się zacierać wrażenie poprzednie i mówić:

— Nie wierz temu, ja przecież tylko żartuję.

Widać było, że nie chciała mu zrobić przykrości nawet w żartach, podobnie jak on przy całej swobodzie unikał zbyt dotkliwych przycinków, którymi drażnił ją jedynie dla wywołania śmiechu.

Te rozmowy ich i zabawy miały cechę niewinnych, naiwnych, pełnych prostoty natur, które na wspólnym poziomie rozumiały się wybornie i przystawały do siebie.

O miłości mowy dotąd między nimi nie było; nie poruszali tego tematu osobno, nie bawili się nim w pięknych słówkach, jakby wiedzieli, że im szersza miłość, tem więcej umie się wyrażać oczyma, niż ustami.

Rozmawiali też z sobą o rzeczach potocznych, obojętnych, zwyczajnych, ale pod tem wszystkim czuć było magnetyczną siłę dwojga serc, lgnących ku sobie.

Krzyś w swojej prostocie i szczerości, gdyby był dotknął otwarcie tego przedmiotu, byłby od razu w formie najmniej wyszukanej odezwał się do Frani krótko, ale stanowczo:

— Wie pani, poco my mamy nadarmo czas tracić; znamy się od dzieci, kochamy się; co tu dużo gadać!.. pobierzmy się i kwita. Dawaj pani rączkę na zgodę!..

Jeżeli tego dotąd nie powiedział, to wstrzymywały go pewne względy bardzo poważnej natury; przewidywał opór w rodzinie, a zwłaszcza w Karolu, który mu oddawna dawał już lekko do zro-

zumienia, że sobie stosunków zażyłszych z Pęczińskim nie życzy, a w stanowczej rozmowie ostatniej wprost zażądał od niego zerwania.

Pogróżka brata co do wydalenia ojca Frani z fabryki oburzyła go, ale skłoniła zarazem do pewnych, czasowych ustępstw.

Postanowił nie dawać tak wyraźnych pozorów, ograniczyć trochę swoje wizyty, nie zmieniając zresztą stosunku swego do Pęczińskich, przeczekać, dopóki projektowane małżeństwo Lizy z baronem do skutku nie dojdzie, a potem, nie mając sobie nic już do wyrzucenia, zrobić na własną rękę, co mu się będzie podobało.

Przygotowany był nawet na zerwanie z bratem i wycofanie swego udziału z fabryki.

— Niech tylko Lizia za mąż wyjdzie — myślał w duchu — już ja sobie poradzę. Będą mieli swego barona, a ja taką żonę, jakiej mi potrzeba. Karol ma muchy w nosie i przewróciło mu się w głowie, odkąd zaczął robić pieniądze i piąć się do wielkiego świata. Co mnie to obchodzi!.. On swoim dworem, ja swoim dworem. Nie potrafię się zgodzić, to się rozejdziemy, ale żeby mi zabraniał żenić się, oho!.. jak rak świśnie!..

Mówił tak, ale nie wierzył w głębi duszy, aby do tej ostateczności dojść musiało. Sierdził się, jako rogata natura, nie przywykła do żadnego nacisku, zerwania jednak naprawdę z rodziną, z despotycznym bratem, a zwłaszcza wycofania się z interessu, porzucenia ukochanej fabryki nie przypuszczał.

Jakaś nieokreślona, tajona w głębi serca nadzieja pocieszała go, że w końcu, byle wytrwał, byle się ostro trzymał, wszystko dobrze będzie, wszystko się pomyślnie zakończy.

Natura optymisty w nim przeważała.

— Tylko się nie dać!.. — powtarzał sobie, — nie dać się nikomu, oho!..

To „nie dać się“ było jakby dewizą Krzysia, nie tylko w tej jednej sprawie, sprawie sercowej, ale stanowiło hasło życiowe całego człowieka.

Pęcziński, zastanawiając się nad najprzyzwoitszym sposobem odsunięcia Krzysia od córki, nie brał w rachubę jednego czynnika, który najwięcej uwagi był godnym i najtrudniejszym w ewentualnym wypadku do usunięcia; nie myślał wcale o tem, czy tych dwoje młodych oprócz przyzwyczajenia i życzliwości nie łączy jeszcze jakieś inne, głębsze i poważniejsze uczucie, które dotąd spokojnie się ukrywało, nie zdraśnięte i nie zagrożone z żadnej strony.

Czekała go w tym względzie większa niespodzianka od tej, jaką mu jego młody szef zrobił w swojej poufnej rozmowie.

Kiedy po wyjściu Krzysia wsunął się powtórnie do szefa domu, powitał go zaraz w progu tercet dziewczęcych głosów:

— Cóż to tatko tak późno dzisiaj wraca?.. może się co stało?..

Udał, że zajęty jest ściąganiem kaloszy z nóg, aby nie spojrzeć w oczy dzieciom, a zwłaszcza Frani.

— Cóż się zaraz stać miało!.. — odrzekł obojętnie — nic się nie stało; spóźniłem się trochę, bo miałem więcej bieganiny po mieście, niż zwykle.

Wdziął swoje stary, wytartą lisiurkę, która mu szlafrok w domu zastępowała, nałożył sobie fajkę i w poręczowym krześle pod piecem usiadł do przeglądania „Kuryerka“.

Dzieci po kolei całowały go w rękę z przymilem i każde na swój sposób starało się prześcigać w usłużności.

Mania ojcu przyniosła stołeczek pod strudzone całodzienną bieganiną nogi, a stawiając go, przytuliła swą główkę do jego kolan i ucałowała je z czułością najmłodszej w rodzinie pieszczoszki.

Tocia ogromnym fidibusem z papieru zapalała fajkę, nadmuchując zręcznie płomień na samą stambulkę tak, jak to ojciec lubił; Frania przyrządzała dla niego herbatę i zakąskę zimną, aby się posilił po pracy.

Wszystkie trzy szczebiotały przy tem wesoło i uśmiechały się do tatusia, rade, że go nareszcie mają wśród siebie; przynajmniej wieczorem do nich należał. Zdarzały się bowiem często całe dnie, w których ojca nie widziały. Wpadał do domu na obiad, zanim ze szkoły wróciły, zjadał cokolwiek na poczekaniu i z fabrycznymi rachun-

kami wybiegał znowu na miasto, aby zaledwie około ósmej wieczorem powrócić do swoich.

Na szczęście, przywykł do pracy i siły mu starczyły.

— Niech nam tatek opowie co nowego, — wyzywały go najczęściej dzieci do gawędy wieczornej. — Co tam słyhać na mieście?..

Dzisiaj nie okazywał wcale chęci do rozmowy; oczu od Kuryera nie odrywał, fajkę pykał i herbatę popijał w milczeniu, czekając tylko, kiedy dzieci powiedzą mu „dobranoc“ i pozwolą sam na sam pozostać z Franią. Pilno mu było zrzucić z serca niewygodny ciężar.

— Co wy dzisiaj tak długo baraszkuje? a nie poszłybyście spać!.. — odezwał się, spoglądając na zegarek.

— Dopiero wpół do dziesiątej.

— To cóż?.. późno i tak; jutro rano wstać trzeba.

— Jak codziennie.

— Spać!..

Tocia i Mania spojrzwały ze zdziwieniem na ojca; dopiero teraz zauważyły, że wydawał się im chmurny i rozdrażniony.

— Tatusi jakiś zły dzisiaj, jak chrzan, — szepnęła pocichu Mania do najstarszej siostry, urażona tem, że jej ojciec nawet po głowie nie pogłaskał, kiedy go w kolano ucałowała przy podawaniu stołeczka.

— Zmęczony; — usprawiedliwiła go Frania, — idźcie się rozbierać — idźcie.

I wyprowadziła dzieci do alkierzyka.

— A umyć się i pacierz zmówić! — z macierzyńską powagą upominała Mania, — codziennie trzeba ci to przypominać.

— Alboż ja codziennie tego nie robię? — broniła się dziewczynka ze spojrzeniem wyrzutu pełnem na swą opiekunkę. — Frania-by mnie jeszcze spod kołderki wyciągnęła, gdybym kiedy zapomniała.

Pęcziński siedział ciągle pod piecem i pykał dawno wygasłą fajkę w zamyśleniu; czekał na córkę.

Gdy weszła znowu do pokoju i zabrała się do szycia przy lampie, wstał, poszedł przezornie drzwi zamknąć i zaczął chodzić z rękoma w tył założonemi od jednego kąta do drugiego naukos, pogwizdując cicho z roztargnienia.

— No, Fattówna za mąż wychodzi — zaczął ni ztąd, ni zowąd — wydają ją za jakiegoś barona.

— Tak?.. za barona, ho-ho! — zawołała Frania — to już napewno?..

— A napewno.

— Dziwna rzecz, że nam Krzyś nic o tem nie wspominał.

Stary zatrzymał się w środku pokoju.

— Krzyś!.. Krzyś!.. mówiłem ci tyle razy, że nie wypada, abys go tak nazywała.

— Frania spojrziała na ojca oczyma i wzruszyła ramionami.

— Dlaczego, tatku?.. skoro tego nie słyszy?..

— Słysz, czy nie słysz, nie wypada. Wiesz, to nie tesame czasy, nie tensam Krzyś, z którym biegałaś po dziedzińcu. Wtedy było co innego, a dzisiaj co innego. I Fattowie dziś nie ci sami. To państwo całą gębą, a my co?.. charłaki. Nie zapominaj moja droga, że to nasi chlebobdawcy.

— No, tak, pan Karol, panna Liza, starzy Fattowie, zapewne — wtrąciła córka — ale Krzyś!.. on z nami ceremonii nie robi.

— Za to my powinniśmy robić ceremonie.

Francia znowu oczy podniosła na ojca i spytała poraz drugi:

— Dlaczego?.. co tatce dzisiaj do głowy przychodzi?..

— Widzisz moja stara, — zaczął, westchnawszy ciężko — nigdy z tobą dotąd nie mówiłem o tem... ale Bogiem a prawdą samemu mi to na myśl nie przychodziło, dopiero teraz zwrócono moją uwagę... Te wizyty pana Krzysztofa u nas są za częste, wogóle całkiem niewłaściwe i zbyt częste. Widzisz, trzeba będzie dać mu to do poznania... jakoś tak grzecznie, zręcznie, aby się nie obraził, ale stanowczo...

Po licach Frania rozlał się pasowy rumieniec.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXVIII.

— Co?... co? tatko chce mu dom wymówić? — zawołała zmieszana — dlaczego?... cóż on takiego zrobił?..

Pęczyński w głowę się podrapał i rzucił na fotel pod piecem.

— Kiedy ci mówię, że trzeba, to trzeba. Już jabym bez ważnej przyczyny tego nie wymagał. Powtarzam ci—to konieczne.

— Frani lży z oczu trysnęły i wargi zadrżały kurczowo.

— Tatko to mówi seryo?— spytała, nie dowierzając własnym uszom.

— Ależ jak ciebie kocham, zupełnie seryo.

Dziewczyna wstała i jakby ją raziło światło lampy pod zieloną umbrellą z różami włóczkowymi, przesiadła się z kanapki na krzeselko pod oknem.

Rozmowa się urwała na chwilę; słychać było tylko tłumione łkanie dziewczyny i pochrząkiwanie Pęczyńskiego.

— Cóż to — stara? ty płaczesz?... — odezwał się nagle, z uwagą spoglądając na córkę, która, leż swoich nie mogąc ukryć, chustką sobie całą twarz zasłoniła. — Ty płaczesz, moje dziecko?... tak ci przykro?... Frania, dajże pokój, a tobie co się stało?..

Podszedł do niej i ujął ją za rękę.

— Frania, cóż to znowu?... słyszysz?..

Dziewczyna łkała dalej, nie odsłaniając oczu; przytuliła swoją główkę do niego i płakała cicho, rzewnie, jakgdyby żalu swego znieść nie mogła i jakby jej zarazem wstyd było tych łez, któremi się serce zdradzało.

Pęczyński obie ręce położył na głowie córki i, gładząc jej bujne włosy, przemawiał, jak do małego dziecka:

— No, starucha, przestańże już. Frania, Frania, dajże pokój!.. kto to widział!.. płaczesz, jak po umarłym, a przecież to ani twój brat, ani swat, ani nawet narzeczony...

Przycisnęła jego rękę do swoich gorących ust i spytała:

— Dlaczego tatko mu dom chce wymówić?..

— Dlatego, że muszę, że... że mi kazali, — wyrzucił nareszcie z siebie szeptem.

— Kazali?... kto kazal?..

— Starszy... Dziś mnie zawezwał do siebie i powiedział wprost, że sobie tych wizyt brata u nas nie życzy, że nie powinniśmy go przyjmować u siebie, nie powinni niczego się spodziewać...

Frانيا załzawione oczy podniosła na ojca:

— A czegoż moglibyśmy się spodziewać? — spytała.

— No, że moglibyśmy mieć jakieś widoki na niego... mógłby się chcieć ożenić z tobą, a widzisz moje dziecko, tego-by sobie nie życzyli, nie zezwoliliby nigdy. To inny świat, inni już ludzie. W jednej rodzinie nie mogą być baronowie z inkassantami: to nie uchodzi. Zresztą, przecież to wspólnik fabryki, a ty biedna panienka, która nawet wyprawy nie ma porządnej. Żebyś miała posag, to co innego; wtedy nie robiliby przeszkód, ale żeś biedna, choć uczciwa i ładna, boją się o mezalians. No, otrzyj oczka, otrzyj, stara i bądź rozsądna; przecież ty tego Krzysia...

Nie dokończył zapytania, bo nowy strumień łez potoczył się po licach córki, ale tym razem wybuch był krótki, gwałtowny, urwany przemocą woli. Wstała i przeszła się po pokoju.

— Czyż oni naprawdę myślą, że my go ciągniemy, tatku? — spytała po chwili.

Pęczyński westchnął.

— Tak to jakoś wygląda. Pocóżby mnie wzywali i przestrzegali?..

Frانيا oparła się o stół obiema rękami i wpatrywała się z zamyśleniem w desek serwety, a gęste brwi jej chmurzyły się i ściagały, jak dwie pelzające gąsienice.

Znać było z jej twarzy, że walczy z nawałą myśli, które jej serce i ambicją boleśnie ranią.

Stary załamał ręce i patrzył na córkę, domyślając się niedostrzeżonej dotąd tajemnicy.

Poznał, że kochała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Książę Pan, komedia w 3 aktach *Adolfa Abrahamowicza* i *Ryszarda Ruszkowskiego* w Teatrze Rozmaitości — Role gościnne p. *Frenkiela* artysty teatru lwowskiego; *Papka* i *Dziendzierzyński*; *Baron* w *Hypnotyzmie* *Fredry* młodszego, *Rola* *Żółtkowskiego*; zawiedziona publiczność i krytyka. *Rozbitki*.

PP. Abrahamowicz i Ruszkowski zmarnowali dobry tytuł na złą sztukę; nie zmarnowali wprawdzie samego tematu, ale tylko dlatego, że go w sztuce wcale niema. Głośna spółka osuwa się coraz niżej. Wyżyna *Meża z grzeczności* piaszczystą być musiała: rozniósł ją wiatr łatwego powodzenia. Już we *Florcu*, chociaż go tak i w salach teatrów i w łamach dzienników zachwalano, kto nie należał do cechu chwalców musiał dostrzedz jakby organiczną wadę twórczości: granie na kwincie nieprawdopodobieństwa, struganie i strojenie maryonetek i rośmieszanie konceptami, które każdy wybrać-by sobie mógł z jakiego podręcznika humorystycznego, a jak obecnie, z „Encyklopedyi humoru“ p. Wołowskiego, tak skutecznie biorącego umysły nasze w opiekę, aby je od pesymizmu uchronić. We *Florcu* spółka lwowska zawiele naraz pochwycić pragnęła; powymykało się jej więc z dłoni nawet to, na utrzymanie czego było dość siły w ramieniu. *Książę Pan* stoi pod tym względem wyżej od *Florcka*: autorowie nie chwytają w garść zawiele, tylko ciągle biorą w nią napowrót to, co już byli włożyli w sztukę. Z tychsamych kart niechby przynajmniej stawiali coraz to inny pałacyk: tymczasem w *Książcu Panie* i karty i pałacyki ciągle jednakowe.

Istotnie, cała ta dramaturgia spółki lwowskiej najlepiej da się przyrównać do dziecinnej zabawki. Są to sobie pohulanki pióra — a raczej dwóch piór — improwizowane bez namysłu, albo z namysłem bardzo lekkim, nie frasobliwym. Pióra żartują sobie z malowanek, poruszanych sznurkami — żartują z samych siebie i z publiczności — i z tego wszystkiego powstaje jakoś zabawa teatralna. O najmniejsze choćby prawdopodobieństwo, o logiczność postępów, niezbędność lub użyteczność pomysłów, o zamykanie słów i czynów w granicach danej formy ludzkiej — troszczą się autorowie bardzo mało. Idzie im tylko o to, aby się sala śmiała. Ależ i w cyrku, gdy koń zejdz ze sceny, ambicje twórcze człowieka nie sięgają wyżej! Humorystyka pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego jest niewybredna: nie byłoby jej źle i w cyrku odpowiednio urządzonym.

Trudno powiedzieć czytelnikowi, a wytłómaczyć widzowi, który wolał patrzeć, niż myśleć: jak ubogą jest treść tego *Książca Pana*, który samą nazwą swoją już tak do teatru nęcił. *Książę* jest absolutnie zerem. Spodziewałem się, że go przynajmniej w końcu III aktu autorowie jak zwykłego rzezimieszka uwięzić każą; ale ta nadzieja zawodu doznała. Sądziłem, że domy galicyjskie: Woszkowskich i Sałatowskich, wydzierać go sobie będą dla swych panien na wydaniu; ale i to oczekiwanie autorowie zawiedli przez niedorzeczny sekwestr. Na widok szlachcica Sałatowskiego, mającego przynajmniej zdrowy rozsądek, powiedziałem sobie: ten nareszcie coś zrobi; ale i jemu autorowie nie zrobić nie pozwolili, bo wolał przyklepać koncepta z zewnątrz, niż wydobywać czyn i komizm z wnętrza samych charakterów. Na widok Gąsiorowskiego, młodego dobrodusznego człowieka, znowu pomyślałem: a może z niego wystrzeli humor jedyny, przez samo już nawiązanie stosunków narzucony: gdzie tam! Gąsiorowski jest maryonetką. Ciągły teatr maryonetek — szopka!

Książę jest równie nieprawdopodobnym, jak murzyn, murzyn jak Gąsiorowski, Gąsiorowski jak Sałatowski, Sałatowski jak Woszkowski i t. d. do nieskończoności. Dwie role kobiece, niby najmniej drwiące z widza, także rdzenia prawdy

w sobie nie mają. Mogli byli już pp. Abrahamowicz i Ruszkowski poprzestać na dwóch śmiesznych domach i księciu, a Sałatowskiego, Gąsiorowskiego i obie kobiety upostaciować poważnie, choćby najkomiczniej, byle z tętmem życia i logiką uczuć, słów i postępów taką, jaką każdy człowiek ze zdrowym rozsądkiem w ich położeniu mieć-by musiał. Dręczyła autorów taka prawdziwość: woleli pajacowate figurki, niż charaktery. Pomysł zindywidualizowania takiego Gąsiorowskiego, wrzuconego w mrówisko głupoty i próżności, jest dobry — ale jakże zmarnowany!

W budowie swej przypomina *Książę Pan* chwilami *Ciężkie czasy* Bałuckiego: czem tam excelencya, tem tu książę. Nie chcę przecież odmawiać wspólnie zasługi oryginalności: jest ona tak mała, że chętnie ją i bez dowodów przyznaję.

Satyra wypłoszona przez humoreskę szukać musiała schronienia aż w samowiedzy krytyki. Szkoda tytułu! Doczeka się on może pióra, jakiego ani p. Abrahamowicz ani p. Ruszkowski nigdy nie miał i mieć nie będzie. Dopiero satyra wytworzy z *Książca Pana* sztukę dla Galicji. A choć od gniewu wychudła — zdobędzie się jeszcze na siłę ramienia, bo nie igłą ani szpilką, ale toporem walić będzie potrzebowała w pychę i egoizm, w niedołęstwo, chciwość i głupotę.

Granó *Książca Pana* dobrze. Role rozebrali między siebie: panie Niewiarowska, Mazurowska, Czaki, Micińska, Trapszówna; panowie: Rapacki, Ostrowski, Tatarkiewicz, Leszczyński, Grzywiński. W takich sztukach gry artystów nie studiuję.

P. Mieczysława Frenkiela, występującego stale we Lwowie, przypomina sobie Warszawa jeszcze z tych czasów, kiedy jako uczeń szkoły dramatycznej Emila Derynga, pisywał się w teatryku przy ulicy Daniłowiczowskiej. — Późno zacząwszy swój zawód, p. Frenkiel szybko już wyrobił się na siłę w rozwojowym trudzie swoim ustaloną, posiadającą już własne swoje formy sztuki. Na scenie warszawskiej ukazał się artysta lwowski poraz pierwszy dwa tygodnie temu. Zewnętrznie przedstawia się p. Frenkiel dobrze. Wzrost piękny; postać zgrabna, zasobna w ciało, ruchliwa i sprężysta. Twarz nie zanadto okrągła, o rysach dość prawidłowych, a dobrze ześrodkowanych. Czoło przyzwoitej wysokości, nos może za krótki w stosunku do szerokości twarzy, — ścięty ostro przy nozdrzach, ze zębem prostym, biegnącym pod kątem silnie rozwartym. Oko małe, z małemi białkami, w niewielką wyposażone ruchliwość, bez silniejszego blasku, ztąd też nieoświecające należycie oblicza. Takie oko w zetknięciu się ze zjawiskami, wywołującemi wrażenia, skłonniejszem zawsze będzie do pewnej spokojnej stateczności, niż do porywającego uniesienia lub walki, i od wrażeń duszy — rzeczywistych czy sztucznych, zapalać się musi powolnie, z trudnością. Usta ma p. Frenkiel kształtne, proporcjonalne, dobrze zbiegające do kątów, uzdolnione do wyrazistego śmiechu. Głos wreszcie silny, pewny siebie, pozbawiony wszakże giętkości, w rejestra niezasobny, sprawiający wrażenie jakiegoś sztywności i chłodu. Dodać jednak zaraz potrzeba, że artyzm umie wrażenie to zacierać, nawet do podniesłego dość stopnia, przez właściwą intonacją i akcentowaniem. Rozum podpira i poprawia naturę.

Tak mi się przedstawia fizyczność nowego artysty, t. j. summa tych środków zewnętrznie występujących, w których talent ma dla siebie tworzyćwo artyzmu. Kiedym się w postaci artysty wpatrywał, w pamięci odżyło mi wspomnienie Jasieńskiego. Mało kto już dziś wie o „dyrektorzce“. Znałem go i widywałem często, ale już wtedy, kiedy jako emeryt odbierał nieustające odwiedzinny artystów czynnych, śpieszących doń z rolami po radę i naukę. Miałem sposobność przez częste przestawianie z człowiekiem w pokoju odtworzyć sobie człowieka na scenie: p. Frenkiel wydał mi się do niego podobnym, a spostrzeżenie to potwierdził na przedstawieniu *Rozbitków* i *Wład. Bogusławski*. Podobieństwo owo wszakże nie sięga poza sam fizyczny przejaw. Indywidualność artyzmu jest w p. Frenkielu odmienna, a znakomicie wyższa. Zgodne świadectwo ludzi starszych ukazuje różnicę już na tym punkcie, od którego

rozpoczyna się sfera intelligencji, nie oderwanej, ale w prace swoje wchodzącej i w nich żywej i czynnej. P. Frenkiel grać umie; Jasiński często wiedział, ale rzadko umiał, a umysłowość swą i swoją artystyczną ambicją trzymał wogóle na niskim poziomie.

Intelligencji ma p. Frenkiel dużo i dużo też biegłości w sztuce. Co w zakresie swoich zasobów fizycznych mógł zrobić, to już zrobił: posiada stałą formę działania na scenie, stałą odtworzenia metodę. Daje nam rolę rozumnie obmyśloną, z dobrze powiązanymi szczegółami; ról tych nie szarpie, nie rwie, nie zszywa, ale przyjmuje je w siebie i oddaje syntetycznie, a myśli nietylko o własnej swojej roli: dba o jej logiczność w stosunku do innych. Słowem: jest p. Frenkiel artystą zdolnym, rozumnym a skończonym w tem znaczeniu, że już proces wyrabiania się swego przeżył. Ale wszelka taka skończoność, jedyną zasługą uznając temu, który ją osiągnął, nie koniecznie już przynosić ma w sobie tę wyższość, któraby objawy sztuki doskonałymi już czyniła. Nie będąc przecież wyższym (a wbrew przesądowi wyższość ta nie często na scenie widzieć się daje)—p. Frenkiel nie jest tylko artystą użytecznym: jest artystą dobrym, a przy samości swojej nie naśladowując nikogo, ma własne swoje miejsce w sztuce. Gra jego rozumna, swobodna, zaokrąglona zawsze sprawić może zadowolenie rzetelne i czyni artystę pożądanym dla każdego teatru i każdego widza. W Warszawie p. Frenkiel nie potrzebowałby sobie publiczności dopiero zdobywać: już ją ma.

Czy jest to talent komiczny? Odpowiedzieć jeszcze nie mogę. Dotychczas więcej zebrało się w umyśle moim wskazówek, że istota uzdolnienia p. Frenkiela przeznacza go raczej do ról satyryczno-rodzajowych. Rozumiem pod tą nazwą, pożyczoną od malarstwa, całą tę kategorię ról, w których ujemne właściwości natury i charakteru objawiają się bezwiednie w sposób rośmieszający, ale nie ściśle komiczny, nie z taką mocą, ażeby śmiech przejmował już niejako samo powietrze, którem dana postać oddycha. Kandydaturę na miejsce Żółkowskiego postawiło tylko nierozważne gazeciarstwo, odmawiając jej niby prawa i widoków powodzenia: jakgdyby sam artysta kiedykolwiek o takiej kandydaturze marzył! Ma on swój szczebel, na którym stanął, swoją indywidualność, z której nie wyjdzie—nawet dla ambicyi zostanie drugim Żółkowskim.

Rolę Papki w *Zemście* p. Frenkiel usiłował indywidualizować tam, gdzie ją Fredro zbyt na ton oderwanego typu *miles gloriosus* nastroił. Rola ta nie jest łatwą do samego już odtworzenia w umyśle a większą jeszcze trudność przedstawia odtworzenie jej na scenie. Wskutek niedość wyraźnego wskazania epoki, a przytem braku rozleglejszego podkładu współczesności, mdłą jest historyczność postaci, która wszakże w historycznym tylko charakterze ukazać się ma prawo. Samochwalstwo, chciwość, tehorzowstwo ogólnikowego *gloriosusa*—wszystko wejść powinno w ramy tego szczegółowego zjawiska, jakim był wprzód Papka w życiu, zanim wszedł do komedii fredrowskiej. Molier nasz właśnie w malowaniu tego błędnego rycerza był wybitnie Molierem: lepiej będzie zawsze w odtwarzaniu Papki nie dosadzić, niż przesadzić. Wszelkie typowe krystalizacje rażą dzisiejsze umysły, zwrócone, nie ku typom, ale ku indywidualiom. W grze artysty lwowskiego wolałbym widzieć mniej łapczywe chwytanie kieski i sięganie po butelkę, a umiarkowańszy, komiczniejszy ton trwogi na myśl otrucia. Wogóle przecież, dążność do stworzenia z Papki prawdziwego osobnika w roli tak ponętej dla karykatury—przejawiała się skutecznie, a to samo już, że była, dobrze świadczy o zdolnościach artysty. Z przyjemnością tu zaznaczam, że licznie zebrana publiczność bawiła się dobrze *Zemstą*. P. Trapzso był Cześnikiem. Ma on jeszcze postawę i poczucie, ale nie ma już głosu.

W nowej komedii Jana Al. Fredry, której wystawienia nie dożył Żółkowski, p. Frenkiel podjął wypadłą z jego dłoni rolę Barona. Sama komedia, na kołowacznie hypnotycznej osnuta i od niej nazwana, jest bardzo słabą i byłoby jej lepiej w szufladzie, niż na scenie. Jest to rodzaj

gorszy od czysto-nudnego, bo krótkochwilny a nudny: można więc sobie wystawić: w jakim kapuśniaczku siedzieć musi widz przez dobrą godzinę. Co byłby zrobił Żółkowski? Z rolą — nie wiele, z publicznością—to, co zawsze robił: przywiązałby ją do siebie.

Dobry Dzieńdzierzynski w *Rozbitkach* był trzecią rolą gościnną p. Frenkiela. Przepyszny Strasz w grze p. Leszczyńskiego bawił szczerze publiczność, ale jej nie bawili ani Szambelanicystwo, ani Kotwicz (p. Waliszewski), a sposobu, jakiego p. Czakówna (Polą) użyła dla zabawienia niższych warstw paradyżu, powinna jej zakazać reżyseria. „Ta influenza“, wprowadzona samowolnie do *Rozbitków*—była wprost nieprzyzwoitą. Wogóle komedia szła nieosobliwie. Tylko sam debutant, p. Lüdowa i p. Leszczyński spełnili swoje zadanie, jak należy.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Styczniu 1890 r.

Złowrótnie zaczął się dla nas rok nowy. Epidemiczny prąd chorób, który wyszedł pono z porzeczki Żółtej rz. w Państwie Niebieskiem, dotknął zaś znaczną część starego ładu, nie zapomnieliśmy i o naszym mieście. Zwykle wielka śmiertelność wzrosła u nas olbrzymio w dniach kończących rok stary a rozpoczynających nowy. Grabarze i karawaniarze robią wcale nieźle interesu, a statystyka lekarska za isala Kraków w szeregu miejscowości, których śmiertelność jest znaczną. Po Sztokholmie, Tryeście, Wiedniu, influenza stosunkowo największe tu czyniła spustoszenia. Przypływały się bowiem do niej inne choroby w związku z nią będące.

Niedługo już wszakże miasto nasze używać ma smutnej sławy ze złych warunków sanitarnych. W ubiegłym półroczu uchwalono wreszcie przystąpić do budowania wodociągów. Opór niektórych pocziwców, którzy przy złej, szkodliwej zdrowiu wodzie chcieli pozostać, usunięto—i może, może w roku bieżącym uchwała na czyn zostanie zamieniona; może wreszcie przystąpią do budowy wodociągów. Rzecz to wagi pierwszorzędnej i niezmienne nagląca. Rozmysłano nad nią lata całe, ale, że wszystko koniec swój mieć musi, więc i rozmyślanie przedstawicieli miasta wyczerpały się. Wchodzimy tedy w fazę czynu: sprowadzić mamy dobrą krajową wodę z Regulie, odległą o mil kilka od miasta. Koszta wodociągów znaczne summy bezwątpienia pochłoną, lecz grosz ten nie będzie wyrzucony: zdobędziemy lepsze warunki sanitarne—praca grabarzy zmniejszy się.

Drugą budową, którą rozpocząć w r. b. miasto ma zamiar, jest teatr. Sprawa konkursu na plany budowy nowego a kosztownego teatru, dotarła do brzegu. Na konkursie planów przyszłego teatru, za najlepszy uznany został projekt budowniczego Stryjeńskiego i Ekielskiego. Obecnie więc z wszelką pewnością twierdzić można, iż z wielkim kosztem miasto dźwignąć zamierza w jaknajkrótszym czasie świątynią dla sztuki dramatycznej.

Bogiem a prawdą, wznoszenie kosztownego gmachu teatralnego—zbytek to niemały dla Krakowa, dość ubogiego i zaczynającego się zagospodarowywać, ale jeszcze nie uzamożniać. Dobre wino, byleby bardzo dobre, moglibyśmy pić i ze starych miechów—dobry, umiejętnie dobrany repertuar zgromadzałby miłośników sztuki i do tej starej budy, która nam dotąd za teatr służy. No, może do nowego a drogiego gmachu wejdzie nowy a swojski repertuar, a znaczna część cudzoziemskiego pójdzie w zapomnienie. Do nowych miechów wleje się dobre a wytrawne wino...

Niektórzy, niepoprawni zoile zarzucają niezbyt polityczne lokowanie teatru na kończynach miasta; znać jednak są jakieś względy przemożne,

które czynić nakazały tak, nie inaczej, a więc milknąć nam należy, notując tylko ten fakt z życia i spraw miejskich. Pomijając kwestyą wielkiej niedogodności lokowania teatru na kończynach miasta, tak przynajmniej rzecz się ta przedstawia nieuprzedzonemu oku, Kraków zdobędzie w nowym gmachu ozdobę niepospolitą a przytem i upiększy się znacznie wjazd do naszego grodu.

Kiedy się mówi o upiększeniach, nie możemy pominąć, iż w tym kierunku działalność rozwija się, wzrasta niezmiennie. Wspaniałe nasze aleje spacerowe, zwane „plantacyami“, posiadają kommissyą stałą, czuwającą nad ich porządkiem, roztropnem utrzymaniem. Drzewa, które dobiegły kresu wieku swego, kommissya usuwa i zastępuje nowymi, trawniki i kwiatowe grędy są utrzymywane w stanie wybornym, świadcząc, iż dłoń zarówno umiejętna, jak i artystycznego smaku tem kieruje. Mamy tu nawet kommissyą czuwającą wogóle nad upiększeniem miasta i ozdabianiem starannem. Myśl instytucji tej, weale szczęśliwa i niemniej praktyczna, gdyż pewne upiększenia, udogodnienia spowodzić mogą znaczną liczbę turystów, co dla miasta, dźwigającego się dopiero z wieloletniego upadku, nie jest kwestyą podrzędną.

Turysta-ziomek pospolicie nie omija Krakowa: owszem, nieraz zbacza, drogi nakłada, by go zobaczyć, by pokłonić się starym murem, cześć za bytkom oddać. Turysta przeto swojski nie potrzebuje przynęty, by w ciągu podróży poza granicami kraju wstąpić do Krakowa. Z cudzoziemcami rzecz się ma inaczej: potrzeba im przynęty, reklamy, a przynajmniej powiadomienia dokładnego, że nie napróżno zaglądają do kraju dalekiego, mało znanego, że tam czeka ich coś więcej nad to, co zwykle się widzi w pierwszym lepszym mieście, że zabytki sztuki ich otoczą, że do studyów artystycznych otworzy się pole, że galerie miejscowego Towarzystwa sztuk pięknych zgromadzą im wspaniałą dachową biesiadę, złożoną z dzieł naszej współczesnej sztuki.

Otóż taką informacją dla obcych, dalekich, ma się stać przewodnik opracowany w językach cudzoziemskich. Tu nasuwa się nam myśl, iż gdy cudzoziemcy mieć będą przewodniki dokładne Krakowa i okolic, dla czegożby i dla swoich nie opracowano dokładnego, umiejętnie ułożonego przewodnika? Brak właśnie jego oddawna uczuć się daje; to, co jest, nie wystarcza. Nietylko bowiem dotychczasowe przewodniki nie wyczerpywały przedmiotu, nie dawały wystarczających, przez kompetentne pióro skreślonych wskazówek, szczególnie w rzeczach dotyczących zabytków sztuki, ale są już pod wieloma względami niedokładne. Wiele rzeczy zmieniło się u nas z biegiem czasu; część zabytków zatracona, zaginiona, domy pałacowe—świadczenia wieków odległych, sztuki prastarej—poprzerabiane, często zepsute do niepoznania, odarte z dawnego majestatu. Inne powstały z ruin, odświeżyły się, zachowując tu i owdzie, stare rzeźby, zapisy, ślady rozsypanej w proch wspaniałości. Wszystko to mogłoby a powinno wskazać przewodnik dla swoich, dla tych szczególnie, co wiedzeni zamiłowaniem sztuki w jej dawnej szacie, wiedzeni wciąż dla wspomnień, przychodzą z dalekich okolic z maluczkim zapasem wiadomości o przeszłości.

A pospolicie ludzie dzisiejsi posiadają wiadomości o przeszłości coraz szczuplejsze. Z maluczkim tobolekiem tych wiadomości w świat się wyrusza, bo dom coraz-to mniej może ich dostarczać, późniejsze zaś życie często w kierunku tym nie wiele daje, owszem niejedno z ubogiego zasobu rozprasza nieogłędnie.

Kraków dużo mógłby brakiem rzeczonym zaradzić, t. j. nie społeczność tutejsza, nie ludzie, ale kamienie, zabytki, płyty, okruszki życia dawnego, które okazały się twardymi tak, iż ich młot niszczycieli na proch skruszyć nie zdołał... Z tej martwej księgi wspomnień dużo nauczyć się można—byle chęć, miłość owego życia dawnego, byle zapal ku wiedzy i przeszłości w piersi nie wygasł.

Okoliczności, przypadek, niejedną już dorzuciły i jeszcze dorzucają głoskę do tych kart, uczących, nie słowem, nie pismem, ale pomnikami, zabytkami, wspomnieniem, zaklęciem w tysiącu drobnych szczegółów, nawet w harmonii hejna-

łów, brzmiającej jednak od wielu stuleci i unoszącej się nad miastem. Tak i obecnie nowa głoska przybyła do owej księgi wielowiekowej—wzniesiono przed paru tygodniami przy końcu Ulicy Basztowej, w okolicy do plantacji przylegającej, pomnik Tadeuszowi Rejtanowi.

Pod względem sztuki, nie zasługuje ów pomnik na szczególną uwagę; z żelaza ulana, wysoka, wysmukła, przezroczysta piramida—tworzy niby kapliczkę, u góry zamykając popiersie człowieka o pamiętnym wspomnieniu, o imieniu — bezdzietnem.

Plantacje biegnące wzdłuż Ulicy Basztowej mają w ten sposób obecnie trzy pomniki, budzące wspomnienia trzech różnych epok. Posąg Bojana, poświęcony pamięci Bohdana Zaleskiego, śliczna grupa, dłuta Oskara Sosnowskiego przypomina nam Jadwigę i jej heroizm pełne poświęcenie, a wreszcie pomniczek, o ementalnej nieco budowie, przenosi nas myślą do dni Rejtana.

Miasto do tych posągów, pomników, przyszło nader tanim kosztem—darowano mu je. Rejtanowski pomnik, również jak inne, czymś darem; przeznaczono go do Muzeum Narodowego, lecz rozmiary za kolosalne na salę zmusiły na plantacjach szukać dlań miejsca.

Tanim kosztem miasto przychodzi do pomnika dla Mickiewicza; składki złożone przeważnie z innych dzielnic, z dalekich, a żywot twardy wiodących, mają go wytworzyć — nie mamy go jeszcze; i rzecz bardzo wątpliwa, czy te niewiele lat, co nas dzieli od XX-go stulecia, wystarczającymi będą do urzeczywistnienia powyższej myśli.

Chwile obecne, karnawałowe, niewiele wywołują zabaw na większą skalę, chociaż nie brak wieczorów prywatnych o szerszym zakresie i organizuje się parę większych balów publicznych. Domów wszakże mniejszych, które tu pospolicie zimy spędzają, mniej mamy w roku bieżącym, zapowiadającym się niewesoło a przynoszącym z sobą spuściznę klęsk zeszłorocznych.

Miłośników zabaw nie brak u nas — jak w całym naszym kraju a więc i tu, rzadko poważnie patrzymy na życie: a jednak jedną z głównych właściwości miasta naszego pewna monotonia w życiu. Płynie ono nam leniwą falą, niby nurty rzek poleskich; w chwilach tylko wyjątkowych ożywia się, w dniach jeno niepowszednich silniejszymi tętny przejawia się jego istnienie. Pospolicie w ciszy snuje się nic naszego tu życia. Żyjemy tak dalece zasklepieni w skorupie spraw powszednich, iż nawet, jakgdyby nie pragnienie wiedzieć, co się dzieje poza rogatkami miasta. Wyjątek chyba stanowi zagraniczna, wielka polityka—trudnimy się nią gorliwie. Obecny przybysz, rzuciwszy okiem bodaj pobieżnie na szpalty naszych gazet, dowolnie przekonać się o tem może. „Natalia“ — tak głośna aż do znudzenia — „Milan“ jej małżonek, a w dniach ostatnich, sprawy Brazylijskie lub Kongo — zapelniają i przepełniają i przepełniają łamy pism naszych. Uspokojenie czytającego ogółu apatyczne, dalekie zawsze od szczerzego ogólnego interessowania się sprawami własnego szerszego zakresu, przechodzi do dziennikarzy, barwę pismom nadając.

Sfera wydawnictw wcale nieprzepełniona nowościami. Objaw to zwykły: ów brak nowych, poważniejszych książek.

Wydawnictwo wszystkich prac Józefa Szujskiego, posuwające się wciąż, powoli wprawdzie, lecz ciągle—prawie zupełnie przerwane. Zapobiegliwa pracowitość profes. hr. Stan. Tarnowskiego, który opiekował się dziełem literackim, posuwała to wydawnictwo; obecnie, gdy serya literacka skończyła swój dział wydawniczy, historyczna na czemś utknęła, a serya politycznych prac nie daje znaku życia — wydawnictwo to poważne, narażone na zwłoki znaczne. A szkoda: w czasach obecnych, gdy tak wiele efemerycznych, dziennikarskich robót, a tak mało prac nowych, poważniejszych książek, o myśli głębszej jest, zaiste, prawdziwą oazą wśród pustyni.

Kiedy my niewiele zużywamy grosza i pracy na nowe wydawnictwa, obecny niekiedy nie żałują kosztów na pisanie o nas, ściślej mówiąc, o naszej przeszłości. Takim obecnie jest przedsięwzięte w Wiedniu wydawnictwo firmy niemieckiej, zamierzające przystąpić do wydania „Wizerunków

Krółów polskich“, wraz z textem. Pióro Smolki, profesora krak. uniwersytetu, i ołówek Matejki składają się na tę pracę oryginalną i wiele zapowiadającą, ze względu, iż Matejko ma wytworzyć oryginalny cykl rysunków, w formie wielkiej czwórki—będzie ich pięćdziesiąt—poważne zaś pióro Smolki text podniesie ponad zwykły informacyjny poziom, jaki się najczęściej w tego rodzaju wydawnictwach spotyka.

Firma wydawnicza, która około Listopada rozpocznie wydawanie zeszytami owych „Wizerunków“, zastrzegła sobie prawo reprodukcji swego wydawnictwa w innych językach.

Niestrudzony Matejko opracował ostatnimi czasy kartony, według których dokonywa się malowanie odnawianego presbiterium w kościele Panny Maryi.

Wytrwałością, poświęceniem znaczne tu są długoletnie usiłowania d-ra Adr. Baranieckiego, aby utrzymać „wykłady wyższe“ dla kobiet, przeszło od dwudziestu lat jego staraniem, energią, ofiarnością istniejące w Krakowie, przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym. Dr Adr. Baraniecki, powodowany myślą wysoce obywatelską, założył ową jedyną, wyższą uczelnią dla kobiet, utrzymuje ją prawdziwie pobohatersku, z niezmiernym wysiłkiem, lat przeszło dwadzieścia. Mniemamy, iż kraj nie da instytucji tej pozostawać wciąż bez ustalonych środków istnienia, jedynie na barkach ofiarności, poświęcenia bezbrzeżnego jej założyciela i opiekuna. Mniemamy, iż się znajdzie myśl o rozleglejszych horyzontach, która przy możności materialnej nie pójdzie utartymi ścieżkami, jak to dziś dzieje się, tworząc coraz nowe przytulki dla żebraków i tych lub owych kalek—ale pomyśli coś i o tym zakładzie, ustali jego byt na przyszłość.

Oby me słowo, bodaj w tym roku, nie przebrzmiało bezowocnie—nie było dzwonem na głuchych.

M.

RUCH MUZYCZNY.

Tłumy, literalnie tłumy, płynęły nieprzebrana fala do sali Ratuszowej na koncert Władysława Mierzwńskiego, i nawet już drugi numer programu się rozpoczął, a jeszcze należała cisza nie panna wpaść wśród ruchliwego jak morze auditorium! — Mniej tłumnie połączono w krainy poważnych ideałów za panem Moszkowskim, który w teatrze obdarzył nas koncertem złożonym z własnych kompozycji. Dziedzina to widać mniej dostępna; wszelako nam pozwolał szanowni czytelnicy, że rozpoczniemy pogawędkę od tego właśnie koncertu, ma on bowiem nieco głębsze znaczenie od jednochwilowych, choćby najwyższych, wrażeń, i temsamem pierwszeństwa się domaga.

Maurycy Moszkowski początkowo zasłynął jako wirtuoz fortepianista; gra jego świetna, pełna werwy i elegancji, postawiła go w rzędzie najpierwszych wykonawców, a dzieła jego fortepianowe, zalecające się ładną strukturą formy, zgrabnością i łatwą kantyleną, stały się wielce popularnymi, czyniąc imię kompozytora głośnie, i że tak powiemy, modnem. Zdobywszy te jednak widocznie nie zadowalały Moszkowskiego, który odczuwał potrzebę wejścia na szersze drogi i dążenia do wyższych celów. Idąc za tym popędem, przerzucił się w krótkim czasie w inny kierunek pracy i owocem jej była symfonia „Joanna d'Arc“; dzieło to, przyjęte przez krytykę bardzo życzliwie wzbudziło od razu dobre wróżby i zaufanie do autora.

W przeszłym już roku pan Moszkowski stanął przed nami zupełnie przeobrażony, w pełnym świetle, przedstawiając się jako wyborny znawca orkiestry, jako dyrygent i jako kompozytor. Obecnie uzupełnił wrażenia nasze, podnosząc o wiele wyżej stopień swojego stanowiska i zdobywając sobie zupełne prawo do tytułu maestra. Bo,

zaiste, trudno sobie wyobrazić, z jakim mistrzostwem włada on orkiestrą, jak instrumentacja jego jest przejrzystą, delikatną a zarazem silną, jak tam ład panuje wśród tych czynników kolorytu orkiestralnego i jak misternie one się kojarzą. Moszkowski nie poszukuje do swej muzyki pomysłów zawitych, któreby z filozoficznym rozumowaniem okrywały się trudną do przejrzania zasłoną; muzyka jego, pogodna, dostępna, nie nuży, lecz tylko przyjemnie zajmuje słuchacza; jeżeli zaś pod wpływem obranej formy zagłębia się w sztuczne kombinacje, czyni to tak umiejętnie, że nie traci lekkości i swobody w toku rzeczy. W ostatnim jego dziele: Suicie orkiestralnej, pierwszą częścią jest: Preludium i fuga. Forma fugi, ściśle scholastyczna, wymaga gruntownej znajomości arkanów sztuki, a prztem przedstawia wiele trudności do pokonania, by nie uczynić z niej suchego bezbarwnego elaboratu, opierającego się li tylko na kontrapunktycznym opracowaniu, a pozbawionego zupełnie poetycznych żywiołów. Moszkowski, czyniąc zadość nauce i wymaganiom formy, uczynił ze swej fugi całość tak powabną, przejrzystą, barwną kolorytem orkiestralnym, że słuchacz nie domyśla się nawet: w jaki to głęboko naukowy utwór się wsluchuje.

W tejże samej suicie, szczególniej jeszcze zwraca uwagę na siebie Intermezzo, tak świeżością tematyczną jak wdzięczną formą i oryginalną rytmiką.

Baletowa muzyka z opery „Boabdil“ o której już w zeszłym roku na tem miejscu wspominaliśmy, uzupełniła program tego ze wszechmiar interesującego koncertu.

Jest to krótka i niedostateczna zapewne ocena, bowiem dzieła znakomitych i wciąż postępujących naprzód kompozytorów należałoby niejednokrotnie słyszeć i studyować; to też obiecujemy sobie powrócić do przedmiotu przy pierwszej sposobności. Teraz jednak, dla zelektryzowania czytelników, przerzucimy się w inne strefy.

Kiedy się ma mówić o Mierzwńskim, dziwne, zaiste, ogarniają wrażenia. Zdaje się nam, że jeszcze słyszymy nieporównany w swej sile i cudnym brzmieniu głos, pod urokiem którego najwytrawniejsi muzycy zapominają o wszelkich zasadach i celach sztuki. Zimna krytyka nie śmie swojego wypowiedzieć słowa wobec entuzjazmu, jaki aż do szału ogarnia wszystkich, gdy słuchają tonów tej olbrzymiej a jednolitej skali, przypominającej, gdyby ją do metalu przyrównać, ów niezmiernie drogi aliaż koryncki, w którym się najcenniejsze kruszce razem stapiały. Z drugiej strony jednak, w chwili spokoju i rozważa, zadziwia owa niebaczność słuchaczy i krytyków na wszystko, co zwykli dotąd za podstawę prawdziwego i szlachetnego artysty uważać. Mierzwński nie stara się bowiem wcale o wniknięcie w ducha danej kompozycji, o właściwą a odrębną dla każdego utworu ekspresję, o dokładne i niezmiennie stosowanie się do myśli kompozytora, który, jak dajmy na to, Moniuszko, pisząc, na przykład, piosenkę ludową, tylko serdeczny, prosty nadał jej charakter, nie uważając pewnie za właściwe podnosić jej do godności arii za pomocą tryłów i innych głosowych efektów.

Zmiany jednak te i tym podobne, liczenie się z taktem i rytmem *ad libitum*, spotykamy co chwila; i nie to nie razi, wobec cudnego głosu, który wszystko pokrywa i nad wszystkim, nawet nad samymi dziełami, panuje. Zkąd to pochodzi? Czyżbyśmy wracali do owych starożytnych czasów, gdy wobec daru przyrodzenia, nawet i prawo chyliło pokorne czoło?

Dalszym jakoby ciągiem entuzjastycznych uniesień był koncert dany przez Towarzystwo Muzyczne na rzecz złożonych ciężką chorobą artystów. Z gotowością godną tak znacznej sprawy panna Pattini, panowie: Mierzwński, Liebling, Barcewicz, Schlötzer i Herz, oraz sympatyczna „Lutnia“ przyjęli czynny udział w koncercie. Nie wchodząc jakie pobudki ściągnęły liczną publiczność, z radością zaznaczamy, iż cel osiągnięty został; koncert wypadł bardzo dobrze pod względem materialnym. Pod względem artystycznym najpiękniejsze chwile zawdzięczyć trzeba

przede wszystkim panu Barcewiczowi, który przesłanicznie, z całym namaszczeniem talentu, od stworzył poetyczną „Legendę“ Wieniawskiego, a nad program dał nam usłyszeć „Tańce“ hiszpańskie Sarassatego. Panna Pattini, która zjednywa sobie w nas coraz więcej sympatyj, odśpiewała bardzo starannie Aryę z „Aidy“ i kilka mniejszych utworów. Panowie Liebling i Herz zagrali na dwa fortepiany wdzięczną kompozycję Saint-Saësa: „Le rouet d'Omphale“, a pan Schlötzer dopełnił dzieła instrumentalnego światłem wykonaniem: Adagia z Fantazji C. dur Schuberta i Walca Moszkowskiego. Lutniści wybrali tym razem ze swego repertuaru: „Piękną Myladę“ Veit'a i „Wędrowkę Lirnika“ pana Michała Herza, uwydatniając, iż coraz jednolitszą, coraz lepiej, że tak powiemy, ześpiewaną ze sobą tworzą drużynę. O Mierzwiskim cóż można rzec więcej nad to, cośmy poprzednio tu zauważyli? Jest to ulubieniec publiczności, porywający wszystkich *nolens volens*, a hojny jak monarcha. Program swój, jak zwykle, w kilkakroć powiększył, najforsowniejsze dla śpiewaków arye intonując z właściwą sobie swobodą.

W ciągu ubiegłych paru tygodni mieliśmy przyjemność słyszeć kilkakrotnie grę skrzypcową pana Karola Gregorowicza. Jest to bardzo młody jeszcze wirtuoz, posiadający już jednak wiele zalet pierwszorzędnych, które niezaprzeczenie stawiają go na stanowisku wybitnym. Jeżeli ton jego nie zaleca się olbrzymią potęgą, natomiast ma szlachetny i pełen uczucia charakter. Strona zaś techniczna nie pozostawia do życzenia, zważywszy młody wiek wirtuoza. Pan Gregorowicz, którego pamiętamy młodem chłopcem, nie leżał do liczby tych wyjątkowych, cudownych dzieci, które nie zawodzą oczekiwań i pokładanych w nich nadziei. Zawdzięcza to może przebytej rozbudzonej szkole i uchronieniu się od marnującego zazwyczaj młodego talenta wyzysku. W wykonaniu jego usłyszeliśmy koncert Moszkowskiego, drugą i trzecią część z koncertu Mendelssohna oraz transskrypcję z dzieł Schumana, Wagnera i Poppera. Szczere okłaski skłoniły koncertanta do dania nam nad program Pieśni cygańskich Sarassatego.

Na post zapowiadają interesujące koncerty, mianowicie: „Lutni“ na którym ma być wykonane duże dzieło Brucha „Fritjof“, saga skandynawska, koncert „symfoniczny“ Dyrekcyi Teatrów, wielki koncert konserwatorium warszawskiego, koncert własny Alexandra Michałowskiego, oraz występy zagranicznych artystów śpiewaków: panny Rossini i pana Salto.

Juliusz Stattler.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1-go Lutego 1890 r.

Influenza i jej skutki. — Śmiertelność w Paryżu. — Polepszenie. — Spostrzeżenia nad chorobą. — Objawy jej na Wyspach Hebrydzkich. — Sztuka Coppée'go: „Ojciec nasz“ (*Le Pater*). — Zakaz. — Agitacja Bulanżerowska. — Zajęcia w Izbie Poselskiej. — Niedzgodna w obozie artystycznym. — Rozpadnięcie się Stowarzyszenia artystów francuzkich. — Influenca i przedsięwzięcia teatralne. — *Jeanne d'Arc* w teatrze de la Porte St. Martin. — *Margot* P. Meilhaca w Teatrze Francuzkim. — Nowy teatr (żydowski) w Paryżu. — Morderstwo woźnego Gouffé. — Ciekawe szczegóły. — Śmierć pani Olimpii Audouard i Vice-hrabiny de Renneville.

(Dokończenie).

Rzecz główna — to kwestya, zbyt własny swój światek zalewającej, osobistości p. Meissonnier'a. Za jego-to inicjatywą rozdano tyle, często niezasłużonych, nagród na wystawie, że to zagradza swobodne wejście na przyszłą doroczną wystawę wszystkim nowym i młodym artystom, a to dla tego, że otrzymana nagroda uwalnia od konkursu i daje prawo do absolutnego przyjęcia. Ponieważ zaś liczba upremiowanych przechodzi już dziś dwa tysiące: więc stowarzyszenie postanowiło nagród ostatniej publicznej wystawy nie brać w rachubę. Ztąd wejście Achillesa, Meissonnier'a, do namiotu — i wytworzenie nowego towa-

rzystwa. Pójdą oni na Pole Marsowe, do opuszczonego pałacu Sztuk Pięknych — gdzie zle oświetlenie sal, odległość miejsca i współubieganie się pozostałych na Polach Elizejskich, sprawią im niemałą szkodę. Najwięcej ucierpi na tem Kassa zapomogi dla biednych artystów i ich rodzin.

Teatra tutejsze, jeżeli z powodu influencyi nie zamknęły swych podwoi przed zbyt zmniejszoną liczbą ciekawych widzów, grały zwykle stare odgrzewane sztuki, przed prawie pustymi ławkami parteru. Najrzutniejsi i najśmielsi z dyrektorów szukali przynęty w odważnym rzucaniu się do nowości; wystawiali albo utwory rzadko grywane, albo też mające za sobą nazwiska większej wiarygodności autorów. Ztąd wyszedł: „Ojciec nasz“ Coppée'go, a wślad za nim *Jeanne d'Arc* Juliusza Barbier'a i *Margot* Meilhaca w Teatrze Francuzkim.

Mówiliśmy już, na czym się skończyła próba z „Ojciec nasz“. Powracając więc do powodów polityczno-administracyjnych, które go usunęły ze sceny Teatru Francuzkiego, powiedzmy tylko, że Coppée sztukę swą napisał w chwili, kiedy patryotyczne oburzenie wywołało w sercu poety tę szlachetną protestację przeciw gwałtom, które sprowadziły wojnę domową, na kraj wycieńczony nieszczęsną wojną 1870—71 r. Przez długie lata leżał ten *Pater* w tece poety, aż go wreszcie przed miesiącem p. Claretie, dyrektor Teatru Francuzkiego zażądał od kolegi akademika, aby mu przyszedł na pomoc w ciężkich chwilach dla sceny jego teatru. Poeta, niemając nic nowego w pogotowiu, przypomniał sobie leżące w szufladzie rękopismo i ofiarował je chętnemu i dobremu sercem. Próba ta w innej może epoce powiodłaby się wyśmienicie, bo Coppée jest prawdziwym poetą — i nawet w samym *Le Pater* wytworzył dzieło co do stylu, układu i rzeczy — można powiedzieć — znakomite. Ale administracja wobec pięknego grona byłych komunardów, które dziś zasiada ławy rady miejskiej Paryża, zwinęła chora-giewkę i wskazała cenzurze drogę do zlikwidowania tej sprawy — tak, aby wilk był syty, choć koza nie cała.

Co do „Joanny d'Arc“, p. Juliusza Barbier'a, wystawienie jej okazało się doskonałą spekulacją dyrektora teatru De la Porte St. Martin. Nie jest to wcale nowa i nieznana sztuka. Zaraz po wojnie 1870—71 r., kiedy Francja była jeszcze całkiem rozdrażniona nieszczęśliwą przegraną i gorąco pragnęła odwetu, d. 8 Listopada 1873 p. Barbier wystąpił z trylogią Dziewicy Orleańskiej, i gładkim wierszem zrymował kroniki i historię Joanny — jako: *pastuszki, bohaterki i męczennicy*. W tym poemacie, który, przeniesiony na scenę, dopełnił się muzyką, dekoracyami i kostiumami, poeta zamknął całą historię Joanny, ale nie zdobył tego, co mogło na scenie porwać i unieść słuchaczy. Miała jednak już wówczas barbierowska „Joanna“ kilkadziesiąt przedstawień.

Wskrzyszona dziś nanowo, poparta reklamą umiejętną, wzbogacona nową muzyką, umyślnie na ten cel napisaną przez Gounod'a, uświetniona nowymi, wspaniałymi dekoracyami, wielkiej dokładności kostiumami z XV-go wieku, przedstawieniem koronacji w Reims Karola VII-go z całym przepychem religijnego obrzędu — a nakłonic z panną Sarą Bernhardt w roli Joanny, — sztuka miała powodzenie ciekawości, tak wielkie, że dziś jeszcze, w miesiąc po pierwszym przedstawieniu, trudno docisnąć się do kaszy.

Ale, jak mówiłem, wartość przedwywiasta, literacka dzieła obcą jest temu popędowi zaciętej publiczności, dla której przedstawienie na scenie z całą religijną świętością, takiego obchodu jak koronacja (*sacre*) króla w katedrze miasta Reims — stanowi pierwszorzędą atrakcję. Łatwo temu uwierzyć, gdyż nigdzie na świecie nie byłoby *dziś* nawet można wprowadzić na scenę arcybiskupów, biskupów i całego duchowieństwa w ornaty i przed wielkim ołtarzem odprawiających, dla zabawy publiczności — jeden z największych obrzędów Kościoła.

Tymczasem, kiedy tak w teatrze De la Porte Saint Martin ruchliwy dyrektor zbiera obfite laury i obfite jeszcze franki, zapomocą miernej sztuki, ale świetnej wystawy — pierwsza sce-

na stolicy, Teatr Francuzki, co chwila utyka i z upadku w upadek się toczy. Widzieliśmy, co się stało z „Drwalową“ Chojeckiego — z „Ojciec nasz“ Coppée'go. Teraz przyszła kolej na akademika Meilhaca i jego, tak naprzód zachwalaną i roztrąbianą, *Margot*.

Dotąd znaliśmy Meilhaca jako wielce gładkiego, sprytnego pisarza powieści, *współpracownika* niejednej sztuki dramatycznej, wystawionej z wielkim powodzeniem na rozmaitych scenach. Dziś mamy go przed sobą jako pisarza dramatycznego na własną rękę.

Jego komedia w 3-aktach pod tytułem *Margot*, przedstawiona 18 z. m. w Teatrze Francuzkim — powiedzmy bez ogródki, jest dziełem chybionem. Najpierw ta wieczna rehabilitacja spornieowanej istoty — a zwłaszcza kobiety — jest to dziś przedmiot zużyty i wyczerpany; zaczawszy od Manon Lescaut, aż do Margot Meilhaca, mamy w literaturze, szczególnie francuzkiej — całą seryo tych sławnych obron. Dumas (syn) jest koryfeuszem tej falangi, która zużyła najlepszą część swego talentu, na dowiedzenie tego, co było, jest i będzie zawsze sprawą straconą i przegraną wobec moralności i prawdy.

Samo założenie było już niebezpieczne i wadliwe. Meilhac chciał przedstawić młodą dziewczynę, zrodzoną i wychowaną wśród największego zepsucia i narażoną zatem na niechybny upadek. Cóż się z nią stanie? Autor chce ją odkupić przez miłość; ale wybrane ku temu osoby i sposoby są czczem złudzeniem — bo źródło ich leży w tem samym zepsuciu, z którego Meilhac ratować pragnie ofiarę.

Nie wchodzę w rozbiór tej sztuki, — na co mi nie pozwala zbyt szczupłe miejsce tego listu — opowiem tylko w krótkich słowach osnowę sztuki p. Meilhaca. Stary kawaler, p. Boisville, ujęty wdziękami i młodością Margot, postanawia wykupić ją z piekła, w którym się już dość swobodnie obraca ta panna — wysyła ją na wieś do swej posiadłości i oddaje w opiekę *starej* (jak zwykle) i *surowej* matrony. Edukacja nie zbyt się dobrze udaje, a tymczasem znajduje się tam leśniczy, który swe serce i swój urząd składa u nóg Marysi.

Ale ta niewinna ofiara wyżej sięga myślą: wpadł jej w oko synowiec jej dobroczyńcy. Na nieszczęście, ten synowiec jest właśnie na drodze do ożenku — i cała kompania spada jak z nieba do zaczarowanego zamku. Tu się rzecz wyluszcza, a pokutująca Magdalena, nie mogąc złapać pięknego synowca, nie chcąc zaś starego sryja, któremu wręcz powiada, że musiałaby go oszukać, decyduje się w końcu na leśniczego — i na tym leśniku kończy się komedia....

P. Meilhac jest stylistą ozdobnym. Nie brak tu słów dowcipnych i gładkiej rozmowy — ale, niestety, znamy się już dostatecznie na tych francuzkich blichtrach, które nie mogą zastąpić tego, czego w tej komedii niema: oto konsekwencji i zaciętego celu. Zróbmy więc, jak publiczność: pokryjmy sztukę milezieniem!

A że tu nigdy, na tym bruku paryżkim nie braknie rzeczy niezwykłych, mamy tu we względzie teatrów fenomen, jakiego nam nie pokazała nawet, sławna przecież z tego względu, ostatnia wystawa paryżka. Mamy teatr żydowski.

Chociaż przedsiębiorca tego teatru, z finezyą szajgecowską, na której się znamy, tytułuje się szumnie: „Dramatycznym klubem rosyjsko-izraelskim“, są to tylko blichtry dla oszukania Francuzów i skorzystania z tych prądów, które tu dziś toczą się i płyną i wieją — i zaprawiają wszystko.

Sala, w której się odbywają te przedstawienia w Sobotę i w Niedzielę przypomina knajpę niemiecką. Stanowi ona część lokalu, zajętego przy ulicy de Lancry, w sąsiedztwie Placu du Château d'Eau przez tak zwaną „Izbę Syndykalną“ — pewien rodzaj polubownego trybunału klasy wyrobniczej.

Jak w knajpie — ciągną tam fajeczki, popijając rozmaite trucizny, ochrzczone nazwami najmilszych trunków; publiczność liczna zapelnia salę, a składa się przeważnie z żydów, zajętych tu handelem albo pracujących w handlowych domach lub w fabrykach. Brud, zaduch *sui generis*,

zmieszany z dymem okropnego tytoniu—wypełnia teatr i stanowi jak-by drugą zasłonę sceny. Gwar, jak w żydowskiej szkole, ogłusza obcego przechodnia. Francuzi, nawet uwryery—powiadają: „Ils sont mal élevés“.

Zdaje się, że, wstępując w ślady wielkich komedyantów przeszłości—p. Goldfaden jest aktorem a razem autorem sztuk przedstawianych w tym „teatrze“. Do utworów swoich bierze ten jegomość przedmioty zaczerpnięte ze Starego Testamentu: „Judas Machabeusz“, „Ester“, „Sulamitka“ i t. d. Wszystko to, zredukowane do formy nowożytnej, zaprawione, grubym i cynicznym żartem, zamknięte w ramy operetki, stanowi prawdziwe lachmany żydowskie. Zeszło to jak grzyby po deszczu i zniknie, jak tu znika tyle rzeczy nie-swojskich: a więc za nim przyjdzie ta chwila ostateczna—chciałem to zanotować, jako osobliwą ciekawość tutejszego bruku.

Od kilkunastu dni wszystkie dzienniki tutejsze zajęte są sprawą tajemniczego morderstwa, popełnionego sześć miesięcy temu na osobie woźnego nazwiskiem Gouffé. Z każdym dniem przybijają nowe szczegóły—i sprawa ta, roznamiętniająca ciekawość publiczną, coraz się staje zawilszą i ciemniejszą.

W ostatnich dniach Lipca z. r. Gouffé, woźny, mieszkający około Château d'Eau, zniknął nagle pewnego wieczora—i wszelkie poszukiwania na razie okazały się bezskutecznymi. Opuściwszy, jak zwykle, swe biuro w godzinie obiadowej, Gouffé nie wrócił więcej, a jego przyjaciele, znajomi i krewni, żadnej nie mogli dać skazówki. Zdolnej naprowadzić na pewne poszlaki: co się z nim stać mogło. W biurze, chociaż skonstatowano, że ktoś obcy, ale znający dobrze miejscowość, przychodził tego wieczora; jednak gdy wszystko znajdowało się w porządku, gdy zwłaszcza żelazna szafa kassy była nietknięta—należało sądzić, że kradzież nie była powodem zbrodni, oile i samo zniknięcie woźnego zbrodniczą miało przyczynę, słowem: zagadka była dość trudna do rozwiązania.

Przypuszczenia i domniemania szły swoją drogą, ale nie rozświecało tajemnicy, kiedy w kilka dni później na polach Millery, wioski położonej w bliskości Lugdunu, znaleziono ciało trupa nagiego, zasytego w ogromny płócienny wór—a o kilkaset kroków od tego wóru—połamany kufer, w którym trupa przywieziono na to ustronne, puste pole...

Zaraz policja i prokuratora lugduńska wpadły na myśl, że trup ten mógł być trupem woźnego Gouffégo; ale ponieważ osoby znajome mu i należące do rodziny, nie poznały w tych nadpsutych już szczątkach poszukiwanego woźnego—sprawa zaczęła się znowu zaciemniać. Podczas kiedy policja bezpieczeństwa w Paryżu ze swym naczelnikiem, p. Goronem, przeprowadzała tajemne swe śledztwo, a dzienniki i publiczność zaczęły już zapominać o całej sprawie, nagle, w ostatnich dniach zeszłego roku, po długich poszukiwaniach, policja przyszła do przekonania, że po-gruchotany kufer, który służył do przewiezienia ciała znalezione w Millery, był wyrobem angielskim, a pewniejsze obejrzenie i konfrontacje dały pewność, że znalezione szczątki były rzeczywiście ciałem woźnego Gouffégo. Po tak wątpliwej nici policja potrafiła dojść do kłębka. I znaleziono na koniec w Londynie fabrykanta, u którego ten kufer był kupiony, na dni kilka przed morderstwem woźnego—więcej jeszcze: znaleziono hotel, w którym mieszkał jego nabywca Francuz—i odkryto w końcu, że tym nabywcą, był niejaki Michał Eyraud, bliski znajomy zamordowanego, który opuścił Paryż, wraz ze swą

ulubienicą, niejaką Gabryelą Bompard. Wszystko zdawało się wskazywać, że ten Eyraud był mordercą woźnego, chociaż powód zbrodni nie był wcale znany. Zresztą żona tego Eyraud'a, mieszkająca w Paryżu, z wielką energią zaprzeczała temu posądzeniu męża jej o zbrodnię: miał on, jakoby tylko dla interesów handlowych, podróżować w owym czasie—po Anglii i Ameryce. Tak stała ta sprawa na początku Stycznia b. r., gdy naraz, dni temu kilkanaście, zjawiała się u naczelnika policji bezpieczeństwa owa-to Gabryela Bompard—wracająca w towarzystwie niejakiego Geranger'a—i złożyła mu najformalniejsze zeznanie o zamordowaniu Gouffégo, przez owego właśnie Eyrauda. Onasama, Gabryela, była naocznym świadkiem przestępstwa.

Szczegóły zamordowania woźnego, w biały dzień—w jednej z najświetniejszych dzielnic Paryża (około kościoła S-ej Magdaleny i wielkich Bulwarów), są okropne i przerażające, a chociaż Gabryela Bompard płała się czasem w swoich zeznaniach, opowiadania jej muszą być w istocie swej prawdziwe. Eyraud dotychczas ukrywa się gdzieś w Ameryce—póki więc władza sądowa nie dostanie go w swe ręce, dopóty wątpliwość i zagmatwanie w tej sprawie nie będą dostatecznie rozjaśnione. Tymczasem wrażenie, że podobna zbrodnia mogła być popełnioną bezkarne wśród dnia i wśródmieściu, porusza wszystkich i daje powód do nieskończonych rozpraw i objaśnień ze strony dzienników.

Wielki też znak zapytania stawia to nagłe ukazanie się Gabryeli Bompard. Jej powrót, zeznanie—jaki cel mieć mogła? Jakkolwiekbydz, była ona współniczką popełnionej zbrodni, przynętą dla wciągnięcia w matnię woźnego, narzędziem czynnym i głównym; a chociaż-by nawet nie przyjęła, jak powiada, żadnego udziału w morderstwie, zawsze przecież, jako świadek biorący udział w zastawieniu sidła, nie może liczyć na bezkarne wyjście z tej sprawy. Cóż więc ją skłoniło do powrotu z Ameryki i oddania się w ręce policji paryżkiej?

Kraj i społeczeństwo tutejsze poniosły ciężkie straty w tym czasie. Są one zresztą wspólne całej Europie, gdzie influencja grasowała wszechmocnie i zjadliwie. Nie będę tu wyliczał ofiar tej zarazy, bo miejsca-by mi zbrakło; ale muszę zapisać nazwiska dwóch kobiet, z których każda w swoim czasie wybitne zajmowała stanowisko w literaturze i społeczności tutejszej. Były to inne czasy i inny ustrój tej społeczności, kiedy młode jeszcze obie wystąpiły na tę palącą arenę Paryża, gdzie rzadko się zdobywa złoty wieniec zwycięstwa—lecz częściej i pewniej, cieniową koronę.

Pierwsza z nich, dziecię południowej Francji, natura pełna zapалу i ognia, wyobraźnia cała w polocie i ruchu, miała wszystkie zalety i wszystkie wady rodzinnej swej ziemi. Sama mawiała o sobie: „Urodziłam się w dzień, kiedy szalony mistral (wiatr gwałtowny północny) dmuchał całą swą pierś—i trochę tego podmuchu musiało mi tu pozostać“—wskazując ręką na czoło kończyła wesoło.

Pani Olimpia Audouard była-to kobieta wspaniałej, klasycznej piękności. W chwili najwyższego jej rozwoju pani O'Connell wymalowała portret nieboszczki, który zachował nam wszystkie cechy i jej niezrównanych wdzięków i tego ognia namiętności, co, jak słońce Prowancji, zdawał się wszystko pożerać wokoło. Barzliwa i namiętna, w dwudziestym roku rozstała się z mężem—rzuciła się śmiało, w ten wir Paryża... Stała na czele falangi, na której sztandarze wypisane było to złudne, tajemnicze słowo: *Emancypacja*. Pisała wiele w tej sprawie i w in-

nych. Jakiś czas była głównym redaktorem i właścicielką dziennika: „Motyl“ (*Le Papillon*), miała nieszczęście stracić dwoje dzieci, dwóch synów; z radą miejską Paryża, z baronem Hausmannem, prowadziła sławny proces o zachowanie ich grobu na cmentarzu, przez który miano przeprozdzić nową ulicę. Pamiętne są słowa, które wyrzekła wówczas przed sądem, broniąc swej sprawy: „Pierwej nim zburzą popioły mych synów, przejdą po trupie moim...“

Następnie podróżowała—było jej pełno czas jakiś we wszystkich częściach świata. Niektóre tylko ze swych podróży ogłosiła drukiem; styl ich jedyny i urywkowy doskonale oddaje gwałtowną naturę kobiety. W 1884 czy 1885 r. w chwili właśnie, gdy kończyła najlepszą swą książkę: *Voyage à travers mes souvenirs*, zachorowała obłożnie na zapalenie płuc. Wyszła z trudnością z tej ciężkiej choroby i odtąd, zmęczona życiem i jego zawodami, odsunęła się od świata, odrzuciła pióro i poświęciła się całej praktykom spirytyzmu, które tłómaczyła z wielką werwą i oryginalnością kosmopolitycznym swym słuchaczom w Nicei—gdzie osiadła. Niedowiarkom, którzy się na to uśmiechali litościwie, nazywając wiarę w spirytyzm przesadą, odpowiadała: „Zgadza się: niech to będzie i przesada, ale jest mi on drogi, bo zapomocą tego przesądu jestem w prostym i nieprzerwanym stosunku z duszami synów moich!“ Uczucie więc macierzyńskie pochłonęło wszystko, cokolwiek tylko ta kobieta marzyła w życiu—a życie to było tak burzliwe, jak rozhu-kane morze. Umarła w Nicei.

Drugą kobietą, o której wspomnieć potrzeba, jest pani de Renneville—urzędowa gazeta mody i monitor nożyczek i igły. Oile pani Audouard była gwałtowną i ognistą, oile pani de Renneville była spokojną i cichą. Założycielka, dyrektorka i redaktorka „Różowej Gazety“ (*Gazette rose*)—za drugiego cesarstwa, kiedy społeczność paryżka leciała za blaskiem i świetnością mody, p. Renneville była u szczytu wziętości—i jej artykuły w świecie *high-life'u*, miały powagę artykułów prawa.

Zona pseudo literata—a w gruncie głównego filara Cyganeryi, nazywała się rzeczywiście, de Lascaux. Mąż—próżniak; żona pracą, pilnością i zabiegliwością umiała nie tylko utrzymać dom, rodzinę, ale dać wychowanie i kawałek chleba dzieciom.

Pod koniec życia, ze zmianą polityczną kraju, zmieniło się i położenie pseudo-vice-hrabiny. Przyszły ciężkie czasy po wojnie, powstała konkurencja, zjawily się dzienniki mód zasilane pieniędźmi bogatych wydawców—dzienniki z rysunkami, ozdobami, literacką częścią—słowem: nowe wcale elementa ruchu i życia, z którymi starzejąca się coraz kobieta nie miała już siły walczyć. Przyszła chwila, że trzeba się było poddać—i „Różowa Gazeta“ przestała wychodzić.

Zeszła p. Renneville ze świata cicho,—i ta, co całe swe życie opiewała kaszmiry, koronki i wdzięki, byle lub niebyłe eleganckiej klienteli swojej, na skromnym karawanie odeszła na wieczny spoczynek; ale przecież dość duża gromadka ludzi odprowadziła ją na mogilkę.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Odtrącony**, przez Reneusza Bazin.

TREŚĆ: Stefania Wohl przez M. Illicką. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Przegląd teatralny przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya Zaganiczna Krakowska. — Ruch muzyczny przez Juliusza Statlera. — Nowiny Paryżkie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści, pod tytułem: **Odtrącony** przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

PRZEGLĄD MÓD.

Nowo-otworzony sklep trykotarzy panien Weisenhoff.—Pończochy.—Białe rzeczy na kaftaniki, spódniczki i pościel u panien Heurich

Skończyliśmy z karnawałem i jego balowymi taaletami, bo bądź co bądź, przy całym narzekaniu na ciężkie czasy bawiono się jednak i to głównie publicznie. Że to nie wypadło taniej, zaręczam doświadczeniem, ale wypadło szlachetniej, bo na dobre cele — taalety bywały mniej rażące zbytkiem koronek i brokatów, a podług mnie magazyny uwzględniając finansową stronę kieszeni naszej mniejsze pisały rachunki. Otóż w tej chwili poważniejszego nastroju należy nam się obejrzeć na rzeczy ciąglej potrzeby, z których jedną z pierwszych są pończochy i wszystko, co w dział trykotarzy wchodzi. Z przyjemnością więc notujemy, że najpierwsza czy też najlepsza nasza fabryka pończoch panien Weisenhoff otworzyła sklep własny przy rogu ulicy Wareckiej i Nowe-

go - Światu w domu pod numerem 51. Wiemy, że fabryka wyrabia pięty u pończoch bez szwu, że rozliczne gatunki pończoch tam wyrabianych kończą się na pończochach z „fil de perse,” zostawiając daleko po za sobą pończochy z „fil d'écosse”—nitka zwana perską robi wrażenie jedwabiu, a w użyciu jest najmocniejsza — kolory pończoch najmocniejsze anilinowe, nie puszczają jak zwykle bawełniane — należy je tylko prać w mydle żółciowym, lub w braku tegoż, w żółci zmieszanej z rozgotowanym mydłem (patrz pranie pończoch broszurkę: „Co bądź chcesz wyczyścić”). Gdy mowa tu o pończochach, muszę dodać, że próbowano w Paryżu nosić kremowe do wyciętych pantofelków, ale próby źle wypadły i dziś noszą do czarnych pantofli czarne pończochy, a do kolorowych pończochy ażurowe tegoż koloru, naturalnie zastosowane do koloru sukni. Oprócz prześlicznych pończoch, spódniczek ciełych trykotowych, kaftaników — fabryka wyrabia różne dziecinne ubiorki prześlicznych fasonów, a sklep zawiera w dodatku różne drobiazgi, należące do naszej taalety — jako to: bardzo tanie woalki i t. p., oraz wszelkie drobiazgi do szy-

cia po oryginalnych fabrycznych cenach.—Drugą stroną praktyczną naszego przeglądu są białe rzeczy u p. Heurich. — W Paryżu są magazyny oddzielne zupełnie na te rodzaje towaru i zowią się „maison du blanc.” U nas przy mniejszej ludności, a więc i mniejszej konsumpcji, nie mamy na to odrębnych składów, oprócz dwóch wielkich specjalności, jak Żyrardów, gdzie jest wszystko, od grubej ściěrki do wykrintnego batystu i sklepu pana Bobrowskiego, który przyznać mu trzeba celuje gustem, a mając przeważnie rzeczy gotowe podaje nam wszystko co Paryż w tym kierunku ma najpiękniejszego i najwytworniejszego tak w męskiej jak w damskiej bieliznie — magazyn też jego stanowi normę mody białych rzeczy dla Warszawy. Ale wróćmy obejrzeć śliczne białe materyały u p. Heurich róg Miodowej. Na białe eleganckie kaftaniki, na penioary, a nawet na sukienki dla podłotków, są śliczne, ale to śliczne „satin lise” i „satin broché” — w paski dzielone ażurową niby wszywką, paski są jakby hafcik, w tak różne desenie, że oko rozkoszuje się patrzeć na te rzeczy. Dalej są tak zwane mereszki używane na bufki, wstawki i t. p. do poszewek, prześcieradeł, szczególnie przygotowywanych do wyprawy, a post jest porą właśnie tej pracy. Jest to batyst najcieńszy z wrabianymi czyli tkanymi od razu płóciennymi zakładkami węższymi i szerszymi, a jak one ślicznie w bufce wyglądają! — Dalej na tak dziś używaną kolorową bieliznę damską śliczne batysty na białym tle muszki, kropki — kolorowe i t. p. odmiany, batysty także zagraniczne są po 40 i 50 kop. za łokieć, krajowe zaś po 30 i 25 kop. Batyst taki oprócz na koszule używa się także na majtki i jest bardzo miły w użyciu. W końcu oglądaliśmy adamaszkowe dymki na spódniczki białe, które się noszą pod kolorową halkę, spódniczka taka robi się węższą i krótszą, dwa lub trzy bryty podług tuszy, ścinają się w kliny, wszywają w baskinę wązką i od połowy nawlekają tasiemką. Dymki takie są w pasy szerokie lub w adamaszkowy deseń, zupełnie naśladowujący desenie holenderskiej stołowej bielizny, a takie to wszystko świeże, ładne i modne, że oglądając i lubując się w ładnej bieliznie, można wyjść z pustą kieszenią od panien Heurich. Na halki jest tam asortyment na każdą kieszeń, bo od bawełny, wełny krajowej i angielskiej, aż do ślicznych francuzkich jedwabi z wystawy paryskiej.

L. C.

Suknia z materyału wełnianego „armure.”

Rycina Nr 2.

Spódnica z kanausu koloru gołębiego, lewy bok pokryty plisowaną falbaną zmarszczoną w górnym brzegu z materyału „armure.” Z tegoż samego materyału wykonana całość sukni przyozdobionej haftowanymi szlakami. Tylne części spadające wolno ułożona w fałdy. Stanik krótki wzdłuż dolnego brzegu zakończony szlakiem haftowanym, zaopatrzone w przedniej części dziurkami do zasnurowania jedwabnym sznureczkiem. Podwójna część stanika zmarszczona w środku podług ryc. z kołnierzykiem wykładanym.

Nr 1. Suknia wieczorowa z „crêpe de chine” i jedwabnego w pasy (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 2. Suknia z materyału jedwabnego „armure.”

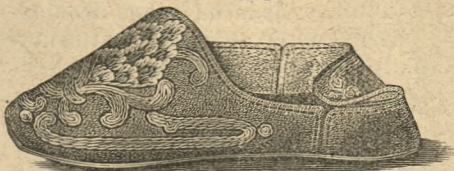
Pantofelek w guście japońskim.

Rycina Nr 4. (Krój i deseń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 32—34).

Skrajać z bai koloru zielonego fig. 33 i 34 po jednej części przenieść na takową deseń. Zapelniać figury japońską złotą nitką, którą mocować ścięciem obrzucanym złotym jedwabiem. Nadto przyozdobić stopę brązową sznelą. Następnie skrajać podszewę podwójną z bai białej i zielonej, zaopatrzyć takową watą, pod-



Nr 3. Se weta na stół, ściąg płaski i robota szydeł. (do ryc. 8 i 15).



Nr 4. Pantofelek w rodzaju japońskim. (Kr. i deseń pierw. str. tabl. Nr IV fig. 32—34).



Nr 5. Figura do zasłony na lampę Nr. 7. (Wielkość naturalna).

zyć pantofelek białą bają. Przyszyć piętę podług cyfr i zaopatrzyć podszewę ze skóry lub bai.

Zasłona na lampę w rodzaju chińskim.

Rycina Nr. 5—7. (Krój odwr. str. tabl. Nr. IX, fig. 68.)

Zasłona złożona z 8 części. Przenieść 8 razy kontury na kwadratową część muslinu 54 cent. wielkości, i zmieniając haftować ryc. Nr 5 i 6 ścięciem gałazkowym i pocztowym rozpolowaną filozelą na część, podług fig. 68 podanych w połowie. Część zewnętrzną otoczyć ząbkami dzierganymi ponsowym jedwabiem, wyciąć podług formy, umocować w górnym brzegu za pomocą wstążeczki i metalowego kółka.

Paltocik z sukna.

Rycina Nr 23. (Krój odwr. strona tablicy Nr VII, fig. 58—65.

Paltocik z sukna brązowego, zaopatrzonego watą i lekką jedwabną podszewką,

ozdobiony pletnią i barankiem astrachańskim. Po dopełnieniu złożenia fig. 58 i przydłużenia w kierunku strzałki fig. 65 skrajać podług fig. 58—61, 63—65 po dwie części, podług fig. 62 kołnierz. Wykonać w przednich częściach zasewki, połączyć fig. 58—61 podług cyfr, podłożyć przygotowaną watą z podszewką. Zaopatrzyć rękawy (fig. 63 i 64) watą i podszewką, rękawy zaś spadające podszewką jedwabną. Połączyć wierzchnie części rękawów ze spodniami od 45 do 46



Nr 6. Figura do zasłony na lampę Nr 7. (Wielkość naturalna).



Nr 7. Zasłona na lampę w rodzaju chińskiego (do ryc. Nr 5 i 6). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 68.

i od 47 do 48 wszyć takowe w paltot, trafając na 48 w 48 przednich części paltotu. Spadające rękawy zmarszczyć w fałdki od * do * i przyszyć od 49 do 50 wzdłuż linii. Wszyć kołnierz od 40 do 44 i przybrać podług ryciny.

Serwetka w guście arabskim.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 9. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 69).

Skrajać z sukna piaskowego koloru część 55 cent. długą a 41 cent. szeroką, przenieść na takową deseń fig. 69 i wykonywać haft rozpolowaną filozelą koloru niebieskiego terracota i oliwkowego, złotym sznurkiem i czarną sznelą w sposób opisany do ryciny Nr 3, jednakże nie należy wypełniać wąskich rzędów i zewnętrznych figur, tylko otaczać takowe wzdłuż konturów złotym sznurkiem i sznelą. Po wykończeniu roboty otoczyć pluszem koloru oliwkowego na 6 centymetrów szerokości i zaopatrzyć lekką podszewką tegoż koloru.



Nr 8. Haft do serwetki ryciny Nr 3.

Serwetka w guście arabskim.

Rycina Nr 3 i 6 w Bl. Nr 9.

Przenieść desęń po-
dług ryciny Nr 6 na
część sukna koloru
piaskowego 28 centim.
w kwadrat. Środkowe
kwiaty wypełniać jak
wskazuje rycina Nr 6
ściegiem długim roz-
półowaną filozelą ko-
loru jasnego terracota,
inne zaś figury oraz
zewnętrzne na prze-
miany rozpółowaną fi-
lozelą ciemną koloru
terracota i jasno-bron-



Nr 9 do 12. Ubranie dla chłopczyka od 4—6 lat (do ryc. Nr 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—31.



Nr 13 i 14. Fartuszek dla dziecka od 1—3 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 66 i 67).

Kokarda na głowę.

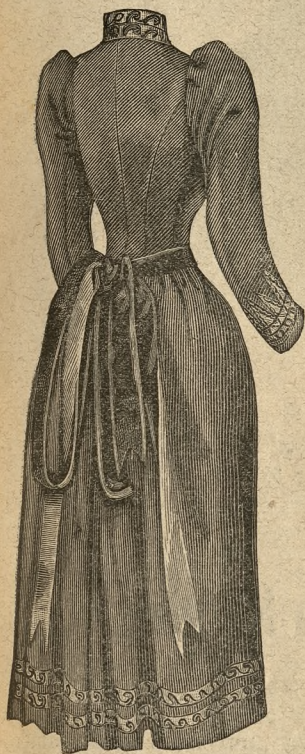
Rycina Nr 11 w Bl. Nr 9.

Złączyć w kółko
druć 30 centimet.
długi, owinać różową
repsową wstążeczką,
upiąć wysoko stojącą
kokardę i bukiet z bia-
łych margeritek.

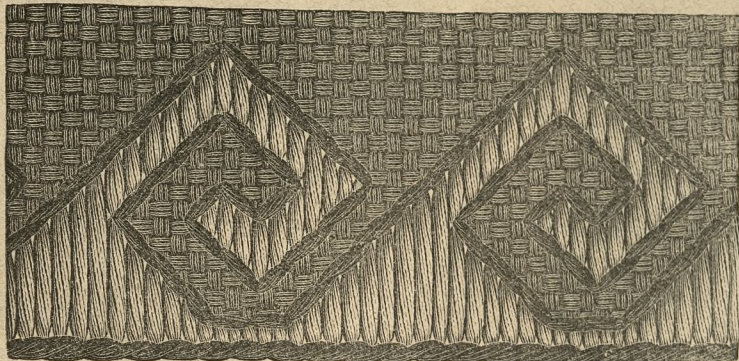
Napiersnik z kołnierzykiem.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 9.

Napiersnik do no-
szenia na staniku przy
luźnym kaftaniku.



Nr 17. Suknia z sukna do ryc. Nr 19. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—46).



Nr 15. Szlaczek do serwety Nr 3. (Wielkość naturalna).



Nr 16. Kurtka dla chłopczyka do ryc. Nr 9 do 12.



Nr 18. Suknia spacerowa z sukna do ryc. Nr 20 (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—19).



Nr 19. Suknia z sukna do ryc. Nr 17. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—46).

Nr 20. Suknia spacerowa z sukna do ryc. Nr 18. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—19).

zową. Luźne te nitki prze-
tykać w odstępach $\frac{1}{2}$ cent.
takimiż niemi i mocować
takowe ściegiem obrzucan-
ym. Listki oraz wąskie
szlaczki wypełniać filozelą
koloru oliwkowego ściegiem
rybiej łuszczyki i figury zbior-
owe otaczać złotym sznur-
kiem oraz cienką jedwabną
sznelą koloru czarnego, mo-
cując ściegiem obrzucanym.
Następnie wyciąć brzeg ser-
wetki w ząbki i zaopatrzyć
lekką podszewką.

Czepeczek z wstążki i koronki.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 9.

Dwie podstawki z pety-
netki, jedna 27 centim. dłu-
gości a druga 23 centim.,
każda $1\frac{1}{2}$ centim. szerok.,
objąć drucikiem i niebieską
jedwabną wstążeczką i po-
łączyć końce paskiem z pe-
tynetki 2 centim. szerokim.
Koronka użyta 5 centim.
i 6 centim. szerok. Kwiaty
i pukle z wstążki niebie-
skiej $\frac{1}{2}$ cent. szer. wykoń-
czają całość.

Wykonać spód 15 centim.
szeroki i 34 centim. długi
z tiulu koloru żółtawego
i mulu tegoż koloru. Część
wierzchnia z krepy chiń-
skiej tegoż koloru ułożona
w fałdki podług ryciny.
Części boczne podługnie po-
kryte wstążką repsową
z pikotami 6 centim. szer-
kości, wyłożoną w górnym
brzegu podług ryciny. Koł-
nierzyk z krepy chińskiej
5 centim. szeroki, otoczony
w dolnym brzegu wstążecz-
ką 2 centim. szeroką. Dol-
ny brzeg napiersnika przy-
brany wstążką w rodzaju
pół paska.

Napiersnik z kołnierzykiem.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 9.

Napiersnik 35 centim.
długi a 16 centim. szeroki,
wykonany z tiulu oraz
z jedwabnego mulu. Prawy
bok wykończony wstążką
koloru crème, ułożoną w
pliski, na co położona te-
goż kolor wstążka gładko.
Druga długość wykończo-



Nr 21 i 22. Płaszcz wiosenny dla panienki od 14—16 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 47—57).



Nr 23. Paltocik z sukna. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 58—65).

na koronką złotą w zęby, z pod których wychodzi falbanka plisowana z jedwabnego mulu, tworząc wachlarzyki, kołnierzyk ułożony z mulu plisowanego i złotej koronki.

Czepeczek z jedwabnego mulu i koronki.

Rycina Nr. 14 w Bl. Nr 9.

Karczek z petynетки 28 centim. długi, mający w środku 6 centimetrów szerokości a z boków 1 centimetr otoczyć drucikiem i obszyć niebieską wstążeczką. Trójkątną część białego jedwabnego mulu, mającą w prostej linii 62 centymetry długości, otoczyć białą koronką 8 centimetrów szeroką. Dolną część trójkątną zmarszczyć w ścisłe fałdki, p przeczne brzegi zeszyć razem i przyszyć do karczka prosty brzeg na 14 centimetrów odległości od dolnego brzegu karczka w sposób, ażeby zab przechodził karczek o 3 centymetry. Następnie ułożyć na karczku wolny jeszcze górny koniec części trójkątnej w fałdy, w rodzaj pukli, jak wskazuje rycina. Przednia część przybrana kordką z niebieskiej wstążki 2½ cent. szerokiej, którą przeciągnąć pod koronką i związać w tylnej części jak na rycinie.

niny drobno krajanej nieco rozsmażonej, parę młodych grzybów, cebuli, listek bobkowy, parę ziarenek angielskiego ziela, pieprzu odrobinę muszkatołowej gałki, i boczki pokrajane przykryć, niech się dusi na wolnym ogniu, podlewając po troszku zimną wodą. Gdy już miękkie i sos dobrze wysadzony, przecedzić go, zaprawić masłem rumianem z mąką wcisnąć odrobinę cytryny—tyle tylko, aby podniosło smak, ale nie było czuć kwasu, włożyć boczki, aby się razem zagotowały i wydać do stołu, okładając makaronem włoskim, podają także takie boczki z sosem wiśniowym. wtedy dusi się jak wyżej, nie kładąc żadnych korzeni, a gdy dobrze uduszone wyjmuję, osypuje się mąką z lekka, obsmarza na maśle i podaje do tego sos wiśniowy, następnym robiony sposobem: Na sześć osób kwartę czarnych wiśni ugotować, nalewając tyle tylko wody, aby zajęła wiśnie, następnie przetrzeć je przez durzłak tak starannie, aby tylko pestki zostały. Wziąć łyżkę młodego masła, zagotować, zaprawić odrobiną maki kartoflanej, rozebrać przetartymi wiśniami—wsypać jedną łyżeczkę miążkiego cukru, zagotować, aby się dobrze zgęstło i albo podać w sosie do smażonego boczku, albo wyjęty z sosu polać na półmisku. Z dzika nie można dawać z wiśniowym sosem tylko z ostrym. W zimie robi się sos z wiśni suszonych.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa „purée“ z grzankami.
2. Paszteciki z mózdzku w kachach.
3. Szynka z marchewką (suszoną).
4. Kapłon z kompotem (konserwą).
5. Tort hiszpański.

Korespondencya.

Odp. p. S... w Żęzowie.

Projekt bardzo dobry — przepis znajdzie pani w 365 obiadach, edycja 15, na stronie 222, jednak zamiast ćwierć funta soli, brać na 15 funtów pół funta soli.

Przepisy gospodarskie.

Doświadczenia praktyczne.

U W A G A.

Potrawa z boczów sarnich lub dzika, czyli z mostków.

Kto nie wie co zrobić z boczami sarnimi oddaje je służbie do barszczu. Otóż wyżyłowane jak najstaranniej boczki pokrajać w zgrabne kawałki—i włożyć w kawałek młodego

Indyki czy inny drób' głodzi się przed zabiciem na 24 godzin, a wtedy kiszki i gardziel są puste i z największą łatwością bez noża za pomocą tylko palca można oczyścić.

L. C.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze Bluszczu służy też do Nr 9.